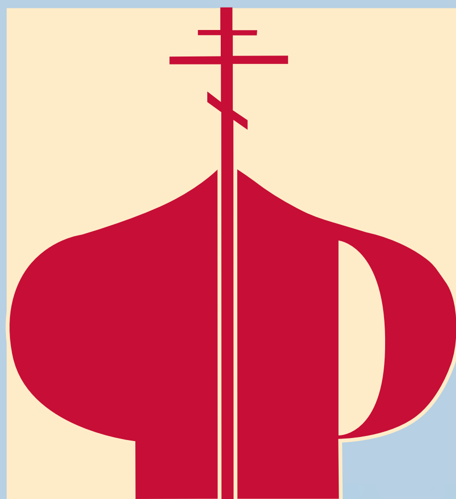


ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

- Turkowice – znowu jest nasz monastyr
- Śladami tragedii – przez Sahryń, Łasków, Kryłów…
- Ikonograf, co ze świętymi rozmawia
- O kobiecie świętej i grzesznej

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski Nr 12 (282) grudzień 2008 cena 4 zł (w tym 0% VAT)

100 lat parafii i cerkwi św. Mikołaja w Michałowie. Podczas uroczystości 26 października.

Więcej na stronach 2-5

Fot. Anna Radziukiewicz



W numerze

Pierwszą cerkiew w Michałowie, wtedy ponadtrzytysięcznym miasteczku znajdującym się w Cesarstwie Rosyjskim, zbudowano w 1908 roku. Dlaczego tak późno? Wszak w pobliskim Gródku kniaziowie Chodkiewiczowie ufundowali cerkiew i monaster ponad czterysta lat wcześniej. W Zabłudowie, do którego z Michałowa osiemnaście kilometrów, było podobnie. Hrehory, pochodzący z tego samego ruskiego rodu Chodkiewiczów, doprowadził już w 1569 roku do wydrukowania w języku ruskim słynnej Ewangelii Pouczającej oraz, rok później, Psałtyra s Czasosłowem. Nawet w Nowej Woli, do której z Michałowa cztery kilometry, prawosławną parafię założono w 1743 roku.

Sto lat parafii i cerkwi

Michałowo, Gródek i Zabłudów są dziś gminnymi miejscowościami, ale jakże inna jest ich historia. Michałowo powstało nagle, niczym nowe osiedle współczesnej aglomeracji. Jeszcze na początku XIX wieku jego miejsce zajmowała mała wieś Niezbudka. Nawet sąsiadujące z nią dobra Hieronimowo cieszyły się dużo większą sławę.

Michałowo złapało szansę po powstaniu listopadowym. Do tego zbrojnego zrywu nie istniała granica celna między Królestwem Polskim a Cesarstwem Rosyjskim. Towary były więc bez przeszkód zbywane na ogromnych i chłonnych obszarach rosyjskiego imperium. Z koniunktury skorzystała Łódź, ale też Warszawa i wiele innych miast Korony.

Po 1831 roku trzeba było płacić wysokie cło. Można było od tego uciec, lokując fabryki w Cesarstwie. Niezbudka od 1807 roku, jak i cały okręg białostocki, leżała właśnie w Cesarstwie.





Metropolita Sawa służył Liturgię św. podczas jubileuszowych uroczystości



Ten historyczny moment doskonale wykorzystał **Seweryn Michałowski**, właściciel Niezbudki. Zanim Michałowski zaprosił do swego majątku fabrykantów, opracował plan przestrzennego układu przyszłego osiedla. Wyznaczył miejsce na domy i fabryki. W połowie 1832 roku pierwsze domy były już gotowe. Michałowski zaprosił do nich niemieckich fabrykantów z rodzinami. Osiedle nazwał Michałowem. Niebawem zbudował niemieckim kolonistom dom modlitwy i szkołę. Przybywali kolejni niemieccy fabrykanci, ale też majstrowie i robotnicy. Do końca wieku XIX dominowali w miasteczku Niemcy.

Kwitł przemysł włókienniczy, ale i rozwijało się, opanowane przez Żydów, rzemiosło i handel. W 1860 roku w Michałowie pracowało już 29 fabryk włókienniczych, zatrudniających 317 robotników, niespełna dwadzieścia lat później fabryk było 43 i pracowało w nich ponad pięciuset robotników.

Wybuchło powstanie styczniowe. Seweryn Michałowski wspierał powstańców, za co władze carskie zesłały go na Sybir, a majątek skonfiskowały. Kupił go generał lejtnant **Aleksander von Minkwitz**.

Po roku 1864, po reformie uwłaszczeniowej, białoruscy chłopi z pobliskich wsi zaczęli napływać do Michałowa. Miasteczko w 1890 roku z ponad trzema tysiącami mieszkańców było już wielonarodowościowe. Przeważali Niemcy. Było ich ponad tysiąc. Żydów zarejestrowano 980, Białorusinów 654 i Polaków 376.

Zbudowano kirchę, kościół, cerkiew i synagogę

Gdy Niemcy w końcu XIX wieku zaczęli budować kolejną, jeszcze większą, kirchę, również katolicy i prawosławni poczęli zabiegi w Petersburgu o prawo do wzniesienia świątyń. Katolicy budowę swojej zakończyli w roku 1910. Żydzi także po 1890 roku wznieśli synagogę.

Prawosławni powołali społeczny komitet budowy cerkwi w 1900 roku. Majątek ziemski w Michałowie stał się od 1905 roku własnością pułkownika **Andrzeja Stankiewicza**. To on podarował plac pod budowę cerkwi i domu parafialnego o powierzchni prawie sześciu tysięcy metrów kwadratowych. Zgodę na budowę świątyni mieszkańcy Michałowa i sąsiadujących z nimi Pieniek, Mościsk i Kobylanki otrzymali od władz carskich w 1906 roku. Ale owo pozwolenie na piśmie poczta dostarczyła dopiero 12 marca 1907 roku. 9 maja tego samego roku poświęcono kamień węgielny pod budowę cerkwi.

Cerkiew rosła błyskawicznie

Komitetem budowy cerkwi kierował o. **Włodzimierz Stupnicki**, właściciel dóbr ziemskich w Mościskach i pierwszy proboszcz parafii w Michałowie, inicjator budowy. To on zorganizował w 1906 roku wyrąb lasu na cerkiewnym już placu, gęsto porośniętym dorodnymi drzewami, i dawał pieniądze na budowę. Przygotowano bale i deski, zwożono kamienie na fundament

Sto lat istnienia parafii i cerkwi św. Mikołaja w Michałowie świętowali wierni parafii i ich goście 26 października. Na uroczystości przybył metropolita **Sawa**, arcybiskup łódzko-poznański **Szymon** i biskup supraski **Grzegorz**. Władycy, wraz z kilkudziesięcioma duchownymi, celebrowali Liturgię świętą. Po Liturgii zostali odznaczeni ci, którym piękno cerkwi i pomyślność parafii szczególnie leży na sercu.

Orderem św. Marii Magdaleny II stopnia udekorowano wójta gminy Michałowo **Marka Nazarko** i starostę parafii **Anatola Wawreniuka**. Order św. Marii Magdaleny III stopnia otrzymali: wikariusz parafii **o. Wiktor Tetiurka**, dyrygent i psalmista parafii **o. Aleksander Aleksiejuk** oraz **Jan Monach** (skarbnik), **Nina Gorbacz**, **Piotr Tarasewicz**, **Wiera Aksiucik**, **Anna Chołolowicz**, **Leon Jarmocik**, **Anatol Timoszuk**.

Błahosłowienną Gramotę przyznano: Radzie Gminy w Michałowie, chórowi parafialnemu, zastępcy starosty **Sławomirowi Ostrowieckiemu** oraz **Eugeniuszowi Trusewiczowi**, **Helenie Jaroszuk**, **Józefowi Żukowi**, **Włodzimierzowi Gryko**, **Mikołajowi Konończukowi**, **Zinaidzie Silwoniuk**, **Walentynie Kardasz**, **Ninie Filianowicz**, **Wierze Konończuk** i **Ludmile Tarasewicz**.

Pochwalne listy otrzymali: **Ludmiła Kuniec**, **Irena Trusewicz**, **Anna Oziabło**, **Irena Kuryło**, **Aleksander Antonowicz**, **Michał Jarocki**, **Halina Krętowska**, **Wiera Skowrońska**, **Raisa Bylewska**, **Anna Kuźma** i **Maria Sak**. Gratulujemy!

Ikonostas w michałowskiej cerkwi
Niżej: Andrzej Stankiewicz



świątyni. Gdy przyszły lata budowy – 1907 i 1908 – materiał już czekał na robotników. O. Stupnicki sprowadził z Łotwy znakomitego majstra **Piotra Stendersa**. Jego żona **Natalia Sak** pochodziła z Michałowa. Pod jego kierunkiem błyskawicznie rosła drewniana cerkiew o powierzchni 272 metrów kwadratowych, o pięciu kopułach, z dzwonnicą sięgającą 31 metrów wysokości. Do cerkwi zapraszały trzy krużganki. Ludzie pracowali od świtu do zmroku. We wrześniu 1908 roku, po szesnastu miesiącach budowy, cerkiew była gotowa. Wtedy na jej poświęcenie przybył biskup grodzieński i nowogródzki **Michał**.

Stankiewiczowie przybyli z Petersburga

Ważnymi dla michałowskiego prawosławia postaciami stali się **Andrzej** i **Aleksandra Stankiewiczowie**. W Petersburgu Andrzej studiował w szkole wojskowej, jego przyszła żona zgłębiała medycynę. Oboje pobrali się i zamieszkali w Carskim Siole. On szybko awansował. Ona urodziła syna, który niestety niebawem zmarł. Więcej Stankiewiczowie dzieci nie mieli.

Przed pierwszą wojną osiedlili się w Michałowie na stałe. Ich dom znajdował się przy szosie prowadzącej do Białegostoku, po prawej stronie za mostem. Do końca swych dni opiekowali się michałowską cerkwią.

Andrzej Stankiewicz zmarł w 1935 roku, mając 55 lat, Aleksandra w 1967 roku, odchodząc w osiemdziesiątym piątym roku życia. U schyłku swych lat sprzedała pianino, swoje źródło utrzymania, jako że dawała lekcje gry na tym instrumencie, i za te pieniądze kupiła perski dywan do cerkwi. Oboje spoczywają na michałowskim cmentarzu.

Michałowem wstrząsnęły strajki i wojna

Michałowem w końcu XIX wieku i na początku dwudziestego wstrząsały strajki robotników. Niektóre fabryki nie przeżyły tego kryzysu. Ale to dopiero pierwsza wojna przyniosła ruinę. To wtedy przestało istnieć 36 zakładów włókienniczych. Co trzeci mieszkaniec miasteczka, głównie prawosławny, zostawił swój dom i dobytek i ruszył w niezmierzone przestrzenie Rosji. Niemcy ewangelicy też uciekali w latach 1916-1918. Na zachód. Z *bieżeństwa* wracali ludzie po wojnie i rewolucji na ruiny i zgliszcza. Niemcy do Michałowa już nie wrócili.

Tuż przed drugą wojną wszystkie zakłady zatrudniały jedynie 139 robotników.

Miasteczko goiło rany

Po pierwszej wojnie niezwykle szybko rosła liczba mieszkańców. W 1936 roku miasteczko skupiało niemal sześć tysięcy mieszkańców, w tym niemal połowę z nich – 2741 osób – stanowili prawosławni. Katolików było 2215, Żydów 732 i ewangelików 190. Niestety prawosławni, choć tak liczni, nie mieli swojej szkoły, a i prawa ich były ograniczone.

W latach 1920-1924 klucze do cerkwi znajdowały się w gminie. Dawano je jedynie przyjeżdżającym na służby duchownym.

W 1924 roku przybył do Michałowa o. **Bazyli Górnijczuk** z matuszką **Nadzią**. Na stałe. Psalmistą został **Jerzy Kirejew**. Założył trzydziestoosobowy chór, który stał się chlubą Michałowa.

W 1927 roku rozpoczęto budowę plebani, drewnianej, na tamte czasy okazałej.

W 1930 roku dyrygentem został **Aleksy Sach**. Chór pod jego dyrekcją mógł się równać z białostockim katedralnym.

W 1938 roku o. Bazyli Górnijczuk, bardzo szanowany, opuścił Michałowo. Na prośbę metropolity **Dionizego** pojechał na Chełmszczyznę. Tu niemieccy żandarmi bestialsko zamordowali go w czasie wojny na oczach matuszki.



O. **Jan Skalski** był następnym proboszczem michałowskiej parafii. Służył jedynie dwa lata. Na dalszą służbę nie pozwolił mu paraliż.

Wojna wywróciła życie do góry nogami

Wojna zmieniała całe życie Michałowa. Sowieci, którzy przyszli tu we wrześniu 1939 roku, upaństwowili fabryki, młyny i sklepy, zostawiając w prywatnych rękach jedynie rzemiosło. Utworzyli jedną szkołę – dziesięciolatkę.

1 stycznia 1940 roku Michałowo opuścili ostatni Niemcy. Rozpoczęły się wywózki na Wschód. Dotknęły



O. Jan Jaroszuk przed michałowską cerkwią; niżej: Aleksandra Stankiewicz

one kilkanaście rodzin, niezależnie od wyznania.

27 czerwca 1941 roku wkroczyło do Michałowa niemieckie wojsko. Już w sierpniu zorganizowali getto dla ponad 230 Żydów. W następnym,



1942 roku, w listopadzie, furami pod eskortą, wywieźli wszystkich Żydów do Białegostoku.

Przyszły metropolita przybył do Michałowa

W 1940 roku przybył do Michałowa o. **Włodzimierz Doroszkiewicz** z matuszką **Margaritą**, przyszły metropolita Cerkwi w Polsce (1970-1998). Mieszkańcy Michałowa zapamiętali o. Włodzimierza jako człowieka niezwykle pracowitego, bez reszty oddanego Cerkwi i parafianom. Zapamiętali jego białego konika. To nim jeździł o świcie, by polewać wodą świeżo postawiony wokół cmentarza mur. Nim zwoził siano, ziemniaki, drewno. Wszak uprawiał ziemię. Razem z parafianami otoczył rozległy cerkiewny plac metalowym płotem.

Batiuszka z miłością odprawiał nabożeństwa, a chór pięknie śpiewał pod dyrekcją **Mikołaja Kosackiego**. Batiuszka był pełen odważnych, jak na tamte czasy, inicjatyw. Szedł z parafianami w uroczystej procesji w czasie Przewodniej Niedzieli na cmentarz, by odsłużyć panichidę za *usopszych*, choć władze tego zakazywały. Daleko niosło się radosne *Chrystos Woskresie*.

Za czasów o. Włodzimierza Doroszkiewicza, po raz pierwszy w historii parafii, dwóch michałowskich parafian poszło na nauki do szkół teologicznych, zaś 19-letnia dziewczyna z Pieniek, **Helena Ostrowiecka**, wybrała, już jako Pelagia, drogę mniszki. Przez trzydzieści trzy lata pełniła posługę monasterze Gornij w Ziemi Świętej. Swój żywot zakończyła 28 listopada 1990 roku w monasterze w Żyrowicach. Tam spoczywa.

Wyzwolenie przyszło ze wschodu

Wyzwolenie Michałowa spod okupacji niemieckiej nastąpiło wczesnym rankiem 22 lipca 1944 roku. Czterdziestym Korpusem Piechoty 3 Armii 2 Frontu Białoruskiego dowodził generał major **W. Kuzniecow**. Wycofujący się Niemcy chcieli najwyraźniej pozostawić po sobie spaloną ziemię. 20 i 21 lipca wysadzili wszystkie duże fabryki. Ocalała jedynie niewielka murowana przędzalnia przy ulicy Białostockiej i drewniana prymitywna tkalnia przy Fabrycznej.

Cerkiew wymagała remontu

W 1946 roku o. Włodzimierz odszedł do Gródka. I w tym samym roku do Michałowa przybył o. **Mikołaj Strokowski**. Mieszkańcy Michałowa zapamiętali tego batiuszkę, jego matuszkę Ninę i trójkę ich dzieci jako wzorową rodzinę.

Batiuszka Mikołaj uczył religii. Docierał też do dzieci mieszkających w okolicznych wsiach. Do Sokola zwykle jechał furą z katolickim księdzem **Leonardem Tołłoczko**. Żył z nim w wielkiej przyjaźni.

Cerkiew, po czterdziestu latach od jej zbudowania, wymagała remontu. O. Mikołaj Strokowski zadbał o jej pokrycie nad częścią ołtarzową. Zmieniono też blachę na dzwonnicy.

O. Mikołaj Strokowski odszedł w 1952 roku.

Stworzono w cerkwi dzieło wybitne

Na jego miejsce przyjechał o. **Włodzimierz Doroszkiewicz**. Był on stryjecznym bratem metropolity Bazylego. Choć w parafii pozostawał tylko trzy lata, zdążył dokonać wielkiego dzieła. Zapraszając do Michałowa **Adama Stalony-Dobrzańskiego**, architekta, profesora Politechniki Krakowskiej, wszedł od razu w strumień żywej bizantyńsko-ruskiej ikonograficznej tradycji.

W czasach, gdy sztuka ikony zdawała się dogorywać, zapomniana i odtrącona przez nowoczesny świat, proboszcz z Michałowa uczynił krok niebywały. Zaprosił niezwykłego artystę, tego który przechował pamięć kanonicznej ikony, jednocześnie człowieka wielkiej pokory. A ten zostawił w Michałowie swoje wspaniałe dzieło życia. Oszalowane deskami wnętrze cerkwi pokrył polichromią.

O. Włodzimierz organizował wszystko, by mistrz z Krakowa mógł tworzyć malowidła. Proboszczowi pomagał starosta cerkiewny **Mikołaj Jarmolik**, aptekarz. Malowanie pochłaniało niezliczoną ilość kop jaj, dodawanych do farb. Adamowi Stalony Dobrzańskiemu pomagał **Jerzy Nowosielski**, wtedy 32-letni.



W stronę miasta

Kolejny proboszcz, o. **Anatol Kiryk**, zatrzymał się w Michałowie na dłużej, na dziesięć lat, do 1965 roku.

W tym czasie Polska Ludowa z rozmachem odbudowywała w Michałowie przemysł włókienniczy i sektor usług. Sięgnięto po miastotwórcze projekty. Takim na pewno było szkolnictwo średnie. Zatrzymywało ono młodzież i skupiało nauczycieli. Już w 1947 roku utworzono liceum ogólnokształcącego i szkołę zawodową.

Kronika cerkiewna, stworzona przez o. **Jarosława Tyczyno**, będącego w Michałowie proboszczem w latach 1973-1983, wskazuje na duży przyrost naturalny. Po wojnie o wiele więcej było chrztów niż pogrzebów. I tak, dla przykładu, w 1948 roku 28 chrztów i 14 pogrzebów, w 1954 – 36 chrztów i18 pogrzebów, 1960 – 47 chrztów.

W 1966 roku do Michałowa przybył o. **Konstanty Gromadzki**. Przyjechał z Warszawy, gdzie był sekretarzem metropolity **Stefana**. Młodzież uwielbiała jego lekcje religii. W cerkwi, pod dyrekcją **Jana Cimoszuka**, pięknie śpiewał chór. W 1973 roku wierni parafii w Michałowie pożegnali o. Konstantego Gromadzkiego. Odszedł do wieczności.

Czas dobrych gospodarzy

I w tym samym roku do Michałowa przybył o. Jarosław Tyczyno, który dał się poznać jako dobry gospodarz. Remontował plebanię i cerkiew. Zadbał o przekazanie prawosławnym ewangelickiego cmentarza (w 1981 roku). Cmentarz ogrodzono. W 1980 roku o. Jarosław doprowadził do inwentaryzacji cerkwi przez wojewódzkiego konserwatora zabytków. W 1983 roku, w stanie spoczynku, wyjechał do Legnicy.

Ćwierćwiecze jednego proboszcza

O. **Jan Jaroszuk** przybył do Michałowa w 1983 roku. W latach 1985-1992 budowano nowy dom parafialny wraz z chrzcielnicą. Potem stawiano garaże, budynki gospodarcze. Nieustannie inwestowano.

W 1992 roku przyjechał do Michałowa wojewódzki konserwator zabytków. Wtedy wykryto, że cerkiew potrzebuje szybkiego i gruntownego remontu. Jej ściany osłaniała szalówka z desek. Pod nią nie było widać, że gniją podwaliny.

Przygotowano dokumentację. O pieniądze poproszono fundusz kościelny, istniejący przy ministerstwie kultury. Wymieniono trzy czwarte podwalin, część ścian i przebudowano trzy ganki, prowadzące do świątyni. W głównej kopule cerkwi spróchniałą więźbę dachową zamieniono na nową i ustawiono nowy krzyż.

W 1990 roku o. Jana Jaroszuka mianowano dziekanem gródeckim. O. Jan nie był już od 1986 roku sam. Pomagali mu o. **Jan Kulik** do 1998 roku, o. **Mirosław Awksietijuk** do 2004 roku, obecnie o. **Wiktor Tetiurka**. Pomagali i diakoni psalmiści – **Arkadiusz Zielepucha**, obecnie **Aleksander Aleksiejuk**.

Dalej remontowano cerkiew. Od 1992 roku świątynia figurowała już na liście zabytków.

W 2003 roku przeniesiono się z pracami renowacyjnymi do wnętrza świątyni. Przybyli wtedy mistrzowie z Poczajowa na Ukrainie i odnowili ikonostas. Założono nową instalację elektryczną i przeciwpożarową.

Michałowska parafia św. Mikołaja, przygotowując się w 2008 roku do stulecia istnienia swego i cerkwi, dokonała wielkiego wysiłku. Jej proboszcz z parafianami, wspierany przez gminne władze, doprowadził do wymiany pokrycia wszystkich kopuł cerkwi i dzwonnicy. Teraz kryje je lśniąca jak złoto blacha. Pomalowano zewnętrzne ściany cerkwi.

Świątynię odnowiono niezwykle starannie. Skorzystano z pieniędzy funduszu kościelnego, gminy i wiernych. W tym samym roku ułożono też nowy chodnik od ulicy Białostockiej do cerkwi. Budowa i remonty przy michałowskim cerkiewnym kompleksie trwają nieustannie od 1983 roku.

Kolejne propozycje proboszcza akceptują parafianie. Wspierają jego wysiłki. Ale najważniejsza dla wszystkich jest modlitwa.

Dziś michałowska parafia liczy niespełna półtora tysiąca osób. Ciągle ich ubywa. W 2002 roku odnotowano w parafii dwanaście chrztów i trzydzieści pogrzebów.

Anna Radziukiewicz
na podst. opracowań
Niny Gorbacz i Leszka Nosa
fot. **autorka**, **Jan Słodowski**
(s. 3 u góry) i **Grzegorz Andrejuk**
(s. 4 u góry, s. 6)

Obok: fragment polichromii w cerkwi św. Mikołaja w Michałowie
Niżej: Liturgia św. w Tarnogrodzie

W Tarnogrodzie i w Biłgoraju

16 listopada do cerkwi Świętej Trójcy w Tarnogrodzie została uroczyście wniesiona ikona św. Leoncjusza Wyznawcy. Św. Liturgię służył tego dnia arcybiskup diecezji lubelsko-chełmskiej **Abel** w asyście wielu duchownych



Władykę powitał proboszcz tarnogrodzkiej parafii, o. prot. **Włodzimierz Klimiuk**: – Dzisiejszy dzień jest dla społeczności tarnogrodzkiej i biłgorajskiej szczególny. Witamy władykę, witamy cząsteczkę świętych relikwii syna Ziemi Tarnogrodzkiej, który swoim życiem dawał świadectwo trwania w wierze prawosławnej w jakże trudnym czasie, w świątyni, w której prawdopodobnie został ochrzczony.

– Dziękujmy Trójjedynemu Bogu – mówił władyka Abel – albowiem w 70. rocznicę akcji burzenia cerkwi na naszej ziemi, radość napełnia nasze serca.

Uroczystość, oprócz parafian, zgromadziła wielu pielgrzymów z diecezji lubelsko-chełmskiej oraz białostocko-gdańskiej.

Podczas św. Liturgii śpiewał chór młodzieżowy katedry św. Mikołaja w Białymstoku pod dyrekcją **Joanny Jurczuk**.

Tego samego dnia w Biłgoraju poświęcono i wmurowano kamień węgielny pod budowę cerkwi św. Jerzego Zwycięzcy.

Proboszcz biłgorajskiej parafii, o. **Jarosław Biryłko**, zwracając się do władyki Abla i wiernych, przypomniał:

– Biłgoraj od wieków był miastem wielokulturowym. Pierwsza znana

Święty archimandryta wyznawca Leoncjusz (Stasiewicz) urodził się 20 marca 1884 r. w Tarnogrodzie, w pobożnej chłopskiej rodzinie. Na chrzcie dano mu imię Lew. Chłopca od dzieciństwa uczono modlitwy i dobrych uczynków. Lew ukończył dwuklasową szkołę ziemską i czteroklasowe gimnazjum. Mając 15 lat zaczął pracować jako pisarz w tarnogrodzkim sądzie. W 1905 r. zmarł ojciec Lwa. Chłopiec został jedynym żywicielem matki. Ta jednak widząc, jak syn pragnie zostać duchownym, pozwoliła mu na naukę w chełmskim seminarium duchownym.

31 grudnia 1910 roku, w wieku 26 lat, Lew wstąpił do monasteru św. Onufrego w Jabłecznej, gdzie w 1912 roku złożył śluby zakonne. W tym samym roku zmarła jego matka. 29 października 1912 roku biskup chełmski Eulogiusz udzielił przyszłemu świętemu święceń diakońskich, a 20 maja 1913 roku biskup Anastazy – kapłańskich.

W 1914 roku mnisi ewakuowali się w głąb Rosji. O. Leoncjusz znalazł się w monasterze Objawienia Pańskiego znajdujacym sie w pobliżu moskiewskiego Kremla. Do grona braci został przyjęty w 1916 roku. W 1917 rozpoczął naukę w Moskiewskiej Akademii Teologicznej, której jednak nie ukończył, gdyż władze radzieckie zamknęły ją w 1919 roku.

W tymże roku podniesiony został do godności ihumena. 22 listopada 1922 roku o. Leoncjusz został przeniesiony do monasteru Spaso-Eutymiuszowego w Suzdalu i jeszcze w tym samym roku mianowany przełożonym wspólnoty. W monasterze spotkał się z wrogością ze strony części mnichów, którzy nawet starali się wymusić na przełożonym opuszczenie wspólnoty. Gdy władze radzieckie zamknęły w 1923 roku klasztor, o. Leoncjusz pozostał w mieście jako proboszcz dwóch parafii. 20 maja 1924 roku patriarcha Tichon podniósł go do godności archimandryty.

cerkiew w mieście, zbudowana w 1617 roku, przetrwała do osiemnastego wieku.

Następna to świątynia, pełniąca obecnie rolę kościoła rzymskokatolickiego św. Jerzego.

Parafia w Biłgoraju została założona dwa lata temu.

Świątynia w Biłgoraju wyrasta jako pomnik tego stasznego i smutnego wydarzenia, jakim było burzenie cerkwi.

Arcybiskup Abel podziękował za uroczystości zgromadzonym duchownym, archimandrycie **Polikarpowi** z Aten, o. **Aleksemu** z Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, ks. **Witoldowi Batyckiemu** z rzymskokatolickiej parafii św. Marii Magdaleny, władzom miasta, przedstawicielom starostwa, urzędów, oświaty i kultury.

Uroczystości zakończył koncert muzyki cerkiewnej, który miał miejsce w szkole muzycznej w Biłgoraju w wykonaniu chóru młodzieżowego katedry św. Mikołaja w Białymstoku oraz chóru katedry Przemienienia Pańskiego w Lublinie.

Uroczystościom towarzyszyła wystawa „1938".

Katarzyna Gryciuk
fot. **Łukasz Klimczuk**, **Józef Klucha**





W 1930 roku o. Leoncjusza aresztowano i skazano na trzy lata łagru. Karę odbył w Komi. Pracował jako felczer przy brygadzie budującej drogę. Duchowe dzieci kapłana przysyłały mu paczki z żywnością i innymi rzeczami. On jednak wszystko co otrzymywał, rozdawał bardziej potrzebującym.

11 listopada 1935 roku o. Leoncjusza ponownie aresztowano i skazano na trzy lata pozbawienia wolności w poprawczym obozie pracy. W obozie w Karagandzie duchowny pełnił funkcję pomocnika lekarza w oddziale sanitarnym. Nieraz strażnicy żądali, aby wyrzekł się wiary. Nigdy tego nie uczynił. Wszelkie zniewagi znosił z wyjątkową cierpliwością.

Po zakończeniu II wojny światowej, 11 lipca 1947 roku, biskup Michał mianował o. Leoncjusza proboszczem parafii we wsi Woroncowo. 2 maja 1950 roku duchowny został aresztowany po raz trzeci i skazany na dziesięć lat obozu. Ponownie znalazł się w Komi. Wszyscy w obozie szanowali sędziwego kapłana. W roku 1955 duchowny został zwolniony z obozu. Arcybiskup Benedykt mianował go wówczas proboszczem parafii we wsi Michajłowskoje. Następnie, po krótkim pobycie we wsi Jełchowka, powrócił do poprzedniej parafii.

Swoją ostatnią św. Liturgię o. Leoncjusz odsłużył 7 lutego 1972 roku. Następnego dnia zmarł. Wierni, żegnając duchownego, doświadczali ciepła promieniującego z jego rąk. Zmarłego pochowano, zgodnie z jego pragnieniem, na wiejskim cmentarzu w pobliżu wsi Michajłowskoje.

O. Leoncjusz został zaliczony do grona świętych czczonych lokalnie w diecezji iwanowskiej. W połowie sierpnia 2000 roku włączono go do Soboru Świętych Nowych Męczenników i Wyznawców XX wieku.

Opracowano na podstawie „Święty archimandryta wyznawca Leoncjusz 1884-1972", broszury rozdawanej wiernym podczas uroczystości w Tarnogrodzie

Znowu jest nasz monastyr

Tam kolyś byw nasz monastyr, my tak joho lubyły!..
A teper nam wsio na dokir zabrały taj zhańbiły
– pisał w swojej słynnej pieśni *Wołyn Poczajewom sływe* o. Dymitr Pawełko. Pisał tak o Turkowicach, duchowym sercu Chełmszczyzny. O miejscu, w którym w 1382 roku ukazało się oblicze Matki Bożej, a potem odbiło się na płótnie. O miejscu, które odtąd zasłynęło z cudownej Turkowickiej Ikony Matki Bożej, niebawem także z turkowickiego męskiego monasteru, który już jako unicki przetrwał do 1749 roku. O miejscu, w którym w 1903 roku powstał osiemdziesięcioosobowy prawosławny żeński monaster z seminarium nauczycielskim, przytułkiem, apteką, szkołą gospodarstwa.

Pisał tak w latach trzydziestych, gdy w monasterskich zabudowaniach mieścił się już zakład dla sierot wojennych, prowadzony przez katolickie siostry, gdy monasterską cerkiew zamieniono na kościół, a duży drewniany pięciokopułowy sobór zniszczono. Pisał, gdy prawosławni mogli się modlić tylko w skromnej, zbudowanej przez siebie, cmentarnej kaplicy. Pisał i wydawało się, że nie może być gorzej.

Mogło. W 1938 roku polscy robotnicy w obstawie żołnierzy z karabinami i w rogatywkach zniszczyli i tę kaplicę. Dzień wcześniej zasypali też cudowne źródełko. Wyrwać wiary z ludzkich serc nie potrafili.



Nadeszła okupacja, Niemcy zwrócili prawosławnym zamienioną na kościół monasterską cerkiew. Ale zaraz nadszedł straszny rok 1943, po nim jeszcze straszniejszy 44 i 45. Przyniósł mordy, podpalenia, w końcu masowe wywózki na wschód. I w Turkowicach nie było już komu śpiewać pieśni o. Pawełka.

Wydawało się, że na zawsze. Któż mógł bowiem przypuszczać, że na tej umęczonej i udręczonej ziemi znów rozlegnie się prawosławna modlitwa?

W 2006 roku władyce **Ablowi** udało się kupić leżący na terenie monasteru dawny Dom Ludowy, nazywany też *czajnią*, i w szybkim tempie w jego najwyższej, środkowej części urządzić cerkiew.

15 lipca 2007 roku, w dzień Złożenia szat Bogarodzicy w Blachernach, odbyła się w Turkowicach pierwsza po 64 latach liturgia.

– Nikt jak Bóg – mówił o tym wydarzeniu obecny na uroczystości metropolita **Sawa**.

Nikt jak Bóg – wypada powtórzyć także w tym roku, bo przed kilkoma miesiącami tu, w Turkowicach, powstał prawosławny monaster Opieki Matki Bożej – jak przed wojną. I na Pokrowę, swoje *chramowoje* święto, sześć sióstr z przełożoną **Eufalią**, które wcześniej modliły się i pracowały na Grabarce, witało władykę Abla, dziewięciu duchownych i trzystu pielgrzymów. Wielu z nich przez dwa poprzednie dni uczestniczyło w obchodach 70. rocznicy burzenia cerkwi na Chełmszczyźnie.

– Kiedyś tutaj, na to święte miejsce, podążali nasi przodkowie, by wywieźć stąd Łaskę Świętego Ducha i spokój serca, wywieźć duchową radość – mówił władyka Abel. – Tę radość odczuł także św. Andrzej *Christa radi jurodiwyj*, który w 911 roku podczas całonocnego czuwania mieszkańców oblężonego Konstantynopola ujrzał Matkę Bożą, która rozpostarła nad modlącymi się, przerażonymi ludźmi swój omofor.

Każdy z nas, zarówno w swoim

życiu osobistym, jak i życiu naszej Cerkwi doświadczył wstawiennictwa Matki Bożej. I my dzisiaj, w murach odradzającej się świątyni, tę opiekę Matki Bożej odczuwamy. Podziękujmy Bogu, że po tych tragicznych czasach możemy dzisiaj tutaj złożyć świadectwo naszej wiary. A tego, że możemy na tym niewielkim skrawku ziemi odrodzić nasze życie monastyczne, inaczej niż cudem nie nazwiesz.

Podczas św. Liturgii pięknie śpiewały *znamiennym raspiewem* turkowickie siostry. Na razie mieszkają w byłym Domu Ludowym, ich cele mieszczą się po jednej stronie cerkwi, a kancelaria monasterska po drugiej. Ale na półhektarowej działce, bo taką wraz z domem udało się władyce kupić, już niebawem ruszy budowa monasterskiego korpusu.

Siostry na święto przygotowały małą broszurkę ze wspomnieniami związanego z Turkowicami jeromonacha **Afanasija** (**Martosa**), późniejszego biskupa Buenos Aires, Argentyny i Paragwaju oraz żywotem św. Paraskiewy, jednej z turkowickich mniszek, którą rosyjska Cerkiew kanonizowała w 2000 roku.

Ucieszyli się z tego prezentu pielgrzymi, którzy przyjechali z bliska i daleka.

Długo przechadzał się po całym monasterskim terytorium prof. **Jurij Makar**, dziekan wydziału historii, politologii i stosunków międzynarodowych uniwersytetu w Czerniowcach, *chołmszczak*: – Byłem z rodzicami w Turkowicach w 1941 albo 1942 roku, miałem sześć albo siedem lat. Przyjechaliśmy z naszych Nowosiółek, to tak ze dwadzieścia kilometrów. Cała łąka aż po las była zastawiona furmankami, a ludzi mnóstwo. Pełno straganów… Dużo o Turkowicach dowiedziałem się też podczas trzymiesięcznego stażu naukowego w Kanadzie. Wtedy, w 1983 roku, miałem okazję poznać metropolitę prawosławnego Kanady, Andrija (Grigorija Mitiuka), który w roku 1938 był dziekanem prawosławnym w Hrubieszowie. Wielokrotnie mi opowiadał o swoich interwencjach u hrubieszowskiego starosty w sprawie wszystkich niszczonych cerkwi, ale głównie Turkowic, bo to była największa świętość. Metropolita podarował mi wiele książek, niestety czasy były takie, że o ich wwiezieniu do ZSRR nie można było nawet pomarzyć. Książki zostawiłem u swego znajomego. Dwa lata później, w 1985 roku, metropolita zmarł. Nieco później zmarł też mój znajomy, a ja usiłuję odszukać zostawione u niego książki.

Profesor Makar kiedy tylko może odwiedza grób ojca. Ojciec brał udział w kampanii wrześniowej, został zamordowany jesienią 1943 roku, a pochowany na cmentarzu w Poturzynie. Jego tragiczną śmierć odnotował w księgach cerkiewnych *swiaszczennomuczennik* o. **Mikołaj Golc** – który kilka miesięcy później podzielił ten sam tragiczny los.

– Co czułem dzisiaj podczas św. Liturgii? Z jednej strony dużą radość, to oczywiste, ale z drugiej strony jest mi ciężko. Jest mi ciężko, bo żeby stanąć na swojej ojcowiźnie, muszę przekraczać granicę.

Bo Nowosiółki wciąż obecne są w życiu prof. Makara. Burzeniu cerkwi w swojej rodzinnej wsi poświęcił swój referat wygłoszony na chełmskiej konferencji.

W Tarnogrodzie cerkiew nie została zburzona, stoi do dziś. Ale tarnogródzccy parafianie wraz z proboszczem, o. **Włodzimierzem Klimiukiem**, licznie wzięli udział w obchodach 70. rocznicy burzenia prawosławnych świątyń.

– Przyjechało nas do Chełma chyba z sześćdziesiąt osób, cały autokar i to duży – mówi pani Maria Żelazko, którą z córką, zięciem i wnuczkiem Łukaszem spotykam także na Pokrowę w Turkowicach. – Podczas wojny bandyci podpalili tarnogrodzką plebanię. – wspomina. – Spłonął w niej stareńki batiuszka. Jak dobrze, że te straszne czasy mamy już za sobą…

Bo dziś są i radości w tarnogrodzkiej parafii, i to nie małe. Najpierw parafianie dowiedzieli się o kanonizacji syna ich ziemi, św. Leontija Iwanowsko-Tarnogrodzkiego. Mieszkał w ich miasteczku, był jedynym synem pobożnych rodziców. W wieku 26 lat wstąpił do monasteru w Jabłecznej, a



wraz z wybuchem I wojny światowej został ewakuowany w głąb Rosji. W rodzinne strony nie wrócił już nigdy. Wiele lat spędził w komunistycznym więzieniu, po śmierci na jego grobie dochodziło do cudów.

– Po tych wieściach szukaliśmy nagrobków jego rodziców, ale bezskutecznie – mówi pani Maria. – Nie znaczy to jednak, że tu nie spoczywają.

Dziś ikona św. Leontija jest już w tarnogrodzkiej cerkwi. Batiuszka Klimiuk podjął też starania o sprowadzenie kopii cudownej Tarnogrodzkiej Ikony Matki Bożej z Dubna. Parafia przygotowała się na jej powitanie jak tylko mogła – cerkiew wyremontowano, położono nowe granitowe schody, i kostkę, wokół świątyni posadzono krzewy.

– A tu na Spasa w Lublinie mówią nam, że na strychu lubelskiej katedry odnaleziono oryginalną Tarnogrodzką Ikonę Matki Bożej, cudowną, z XVI wieku – wspomina pani Maria. – I jak tu Bogu nie dziękować…

Teraz wszyscy czekają na powrót ikony z pracowni konserwatorskiej. Już nawet mają piękną ozdobną ramę. Będą się przed nią modlić i śpiewać pieśni. Także tę o. Dymitra Pawełko *Wołyn Poczajewom sływe*, która w Turkowicach zabrzmiała niczym testament ojców. Przy słowach:

Ne bijsia krywdy, Chołmszczyno,
z toboju Maty Boża,
a z Neju wseńkyj wirnyj lud
wsi krywdy peremoże

wzruszyli się wszyscy.

Alła Matreńczyk
fot. **Andrzej Jekateryńczuk**

Mam w parafii cerkiew i 49 cmentarzy

Pokrowa, Turkowice. Tuż po św. Liturgii wyruszamy w pielgrzymkę „Śladami zburzonych świątyń” . Przed nami Sahryń. Niedaleko, jak ręką podać. Ale nie tylko bliskie sąsiedztwo łączy te dwie miejscowości. Także tragiczny los i tragiczna data – 9 marca 1943 roku. Dobrze zapamiętała ten dzień Antonina Mitiuk.





Panichida i jeden z pomników na cmentarzu w Sahryniu

Wpół do czwartej nad ranem w Sahryniu zawyły syreny alarmowe. Ludzie wybiegli z domów na drogę. Łuna pożarów rozświetlała niebo – to płonęły podpalone przez polskie podziemie Turkowice. Od czasu do czasu dochodziły strzały, jeszcze z daleka. I nagle jak nie spadnie grad kul na Sahryń, najpierw od południa, od strony cmentarza. Wszyscy rzucili się do domów. Antonina Mitiuk zdążyła chwycić dziecko, przekazała je teściowej i ruszyła w stronę chlewu – ale już nie zdążyła wypędzić dobytku. Ogień polskich partyzantów był szybszy. Razem z teściową i dzieckiem ruszyły prosto przed siebie. Nie były same. Jedni uciekali w stronę Gaju, inni na Terebin, Hrubieszów… Ale i stąd zaczął się ostrzał. Zawróciły do wsi. Za późno, droga była już odcięta. Na czworakach zaczęły pełznąć w pole. Śnieg był twardy, marcowy – Antonina pocięła nim ręce, ale zdołała wygrzebać nieckę i tam schować dziecko. Razem z teściową przykryły je własnym ciałem. Potem przeniosły się za kupę gnoju. Wkrótce podeszli do nich trzej ukraińscy chłopcy, tej nocy stali na warcie, mieli broń.

– Chłopcy, po co tutaj przyszliście? Nie macie innego miejsca? – upomniała ich Antonina. I do teściowej: – Mamo, nie możemy tutaj leżeć.

Na łokciach przeczołgały się w szczere pole, położyły się w bruzdach. Leżały i patrzyły, jak coraz bliżej podchodzą polscy partyzanci… Z karabinami zawieszonymi na ramieniu, z torbami pełnymi nabojów. Kogo dostrzegli – zabijali. Podeszli do nich.

– Nie strzelajcie, jesteśmy Polkami – prosiła Antonina.

– A, dzisiaj to wy wszyscy jesteście Polakami – oni na to. – Pokaż kenkartę!

– Nie mam – skłamała Antonina, bo w ukrytej za cholewą buta karcie była zaznaczona narodowość – ukraińska, nie mogła więc jej pokazać.

– Po co tutaj przyszłyście, przecież wszyscy Polacy byli uprzedzeni – na to partyzanci.

– Mąż pojechał do Hrubieszowa i nic mi nie powiedział – Antonina nie poddawała się łatwo. – Niech mnie pan zaprowadzi do Ogonowskich.

– Strzelaj, bo to Ukrainka – jeden z partyzantów zaczął tracić cierpliwość. – Dobrze mówi po polsku, może Polka – ciągle miał wątpliwości drugi. I dawaj pytać: – Ilu synów ma Ogonowski? – Pięciu. – A córek? – Dwie. Za kogo wyszły za mąż?

Antonina znała odpowiedź na wszystkie pytania. Polak zaczął w końcu odchodzić.

Teściowa cały czas milczała, dziecko leżało w bruździe.

– Co mam powiedzieć, jak przyjdą inni Polacy – zapytała jeszcze Antonina.

– Powiesz tak, prawe skrzydło nas minęło, niech minie i lewe.

Powtórzyła to, gdy nadciągnęło drugie skrzydło.

– Toż ty jesteś Ukrainka – na to polski partyzant.

– Nie, ja jestem Ogonowska – Antonina zaprzeczała. – Niech pan mnie zaprowadzi do domu.

Kryłów. Puste miejsce po cerkwi Przemienienia i cerkiew w trakcie rozbiórki

W końcu odeszli… A ci trzej chłopcy za kupą gnoju już leżeli zabici.

Antonina z teściową i dzieckiem zostały do zmroku. Zmarzły bardzo, zdecydowały się wrócić do wsi. A wieś płonęła jak piekło. Patrzą, a tu po drodze, w dolince, dwoje ludzi leży. Może to jakaś zasadzka?

– Lepiej poczekajmy jeszcze na tym polu – zaproponowała teściowa.

Dopiero nad świtem ponownie ruszyły w stronę wsi. Patrzą, tych dwoje w dolince, których wystraszyły się tak bardzo poprzedniego dnia – nie żyje, zostało zabitych. – Toż to moja mama i stary Szymuła – rozpłakała się Antonia. Potem z bratem już furą wróciła po zmarłych…

Ich wieś, duża, bo licząca ponad trzysta domów, wyglądała strasznie. Śnieg był rdzawy od krwi, na podwórkach, przy drogach, w rzece ludzie leżeli jak snopki za żniwiarką. Nie było komu ich chować.

Antonina z bratem, potem też z mężem, wozili zmarłych na cmentarz. Nie byli sami. Ci co przeżyli, chowali swoich i cudzych. Doły wypełniały się błyskawicznie. Jak spokojnie można pochować kilkaset osób, w bólu po stracie najbliższych, w strachu, że to jeszcze może nie koniec?

Wasyl Kramik wykopał jamę dla brata, bratowej i ich syna, pojechał po ciała, wraca, a już dół jest zajęty. Kramik w krzyk: „Zabieraj", a ten kto położył swoich zmarłych nie chce, bo jak wyjmować... Wasyl z tego stresu: „Ja was powystrzelam". I chwyta za gwintówkę. Ludzie tych zmarłych z dołu więc zabrali.





Ilu ludzi w Sahryniu zamordowano? Jedni mówią, że ośmiuset, inni że ponad tysiąc...

Dojeżdżamy do Sahrynia, wchodzimy na cmentarz. Nie ma z nami Antoniny Mitiuk, są wierni z Chełma, Lublina, Ukrainy, około trzystu osób.

Są duchowni, o.o. **Mirosław Wiszniewski**, **Włodzimierz Chodak**, **Jan Kot**. U bramy stoją dwaj starzy mężczyźni, jeden postawniejszy, drugi drobny, obaj miejscowi.

– Czy ktoś przyjechał z Łucka? – pyta ten pierwszy, płacze.

– Ale przecież Polacy też Ukraińców bili – przerywa nerwowo ten drugi.

Droga pnie się lekko w górę. Na próżno szukać mogił większości pomordowanych.

– Stąpamy po nich – mówi dr **Grzegorz Kuprianowicz**, przewodniczący Ukraińskiego Towarzystwa w Lublinie, które razem z diecezją lubelsko-chełmską zorganizowało tę pielgrzymkę. – Zamordowanych było tak wielu, że nie dla wszystkich wykopywano nawet groby, zmarłych przysypywano tylko ziemią.

Swiatyj Boże, Swiatyj krepkij – rozlegają się słowa panichidy. Modlimy się ze świecami w rękach.

Od kilku lat prowadzone są rozmowy na wysokim szczeblu, by w Sahryniu stanął pomnik pomordowanych.

W Łaskowie, do którego wyruszamy, taki pomnik już stoi. Ufundowała go co prawda prywatna osoba, **Lidia Kołomijec** z domu **Własiuk**, upamiętniając wszystkich, którzy zginęli z rąk polskiego podziemia 10 marca 1943 roku. Był wśród nich *swiaszczennomuczennik*, młodziutki o. **Lew Korobczuk**, byli jej najbliżsi, rodzice, siostra i brat. Tylko jej z całej rodziny udało się przeżyć.

Mimo że pani Lidia mieszka daleko – w Anglii, co roku przyjeżdża na święto Męczenników Chełmskich i Podlaskich.

W tym roku w rodzinnym Łaskowie zatrzymała się nieco dłużej, bo o. Jan Kot z Hrubieszowa wyświęcił właśnie postawiony pomnik.

Polskie podziemie otoczyło ich niedużą, bo liczącą około sto dwadzieścia domów, wieś gdzieś tak około 10.30, przed południem. Ani 17-letnia Lidia, ani jej siostra **Gala** czy brat **Tola** nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Uciekać nie mieli dokąd, schować się nie mieli gdzie. Rodzice gdzieś się zapodziali w tym zamieszaniu. Nadciągnęły chmury, robiło się coraz ciemniej.

Troje rodzeństwa ruszyło przez ogrody na wschód. Pod nogami chlupotało błoto, ziemia powoli rozmarzała.

– Tolu, Tolu, chodź ze mną, co ma

Lidia Własiuk-Kołomijec przy pomniku upamiętniającym 260 zamordowanych mieszkańców Łaskowa i panichida na cmentarzu

się stać ze mną, stanie się i i z tobą, tyś najmniejszy – nagle usłyszeli za sobą głos mamy.

Brat miał wtedy trzynaście lat i od razu szczęśliwy ruszył w jej stronę. Do córek, w tym stresie, nie odezwała się ani słowem. Na pewno wierzyła, że pojedynczo zwiększają swoje szanse na przeżycie…

Dziewczynki zaczęły szukać schronienia na własną rękę. Biegały od sąsiadów do sąsiadów, ale przygotowane przez nich kryjówki były już pełne. A polscy partyzanci byli coraz bliżej.

– Galę weźmiemy, ale ty, Lidka, szukaj sobie innego miejsca – usłyszały wiedź, szybko przeskoczyła parkan i wskoczyła do środka.

– Wzdłuż ścian są snopki, bo woda podeszła – powiedziała gospodyni. – Ja tam nie wejdę, bo w wodzie nie wytrzymam, lepiej już zginę od kul.

Stała tuż obok kosza do młynka wypełnionego ziemią i nim starannie zasłoniła wejście. Z wierzchu kryjówka przypominała kopiec na ziemniaki, nie rzucała się w oczy, bo ogrodzona była parkanem.

W środku było bardzo wąskie przejście, miało dwa zakręty. Siedziały już tam cztery osoby, Lidka była piąta. Wszyscy na kuckach, dzięki snopkom wierzyły temu, co widziały. „Ratujcie, ratujcie" – ktoś krzyczał w oddali. Gdzieniegdzie ryczały jeszcze krowy, trzeszczały niedopalone budynki, ogień wciąż strzelał językami w górę, ale już z wolna przygasał. Wszystkie kryjówki, w których wcześniej pytała o miejsce, były otwarte. Zabici leżeli na gromadzie, rzadziej pojedynczo, często bez obuwia. Wielu ciał Lidia nie poznała, bo twarze były popalone. Otwarta była też kryjówka, w której skryła się siostra Gala. Po niej samej ani śladu.

Co z mamą? A z tatą? Nikt nie widział ich żywych.





u Nowosadów. Ich schowek mieścił się w wypełnionej słomą stodole. Nie było czasu, żeby myśleć o tym niebezpieczeństwie.

– Lidka, oddaj mi swój kożuch, to jak się zgubimy, będę miała w czym chodzić – nagle poprosiła Gala.

Lidka w pośpiechu zdjęła czerwonawy, z czarnymi obszyciem, pięknie wyszywany kożuch, sama została w pluszowym żakiecie.

I znowu ruszyła w poszukiwaniu schronienia. Nagle spostrzegła, jak **Handzia Tomczuk** zamyka wejście do swojej kryjówki wykopanej za parkanem między chatą i stodołą.

– Ciotko, jest tam miejsce? – krzyknęła, a otrzymawszy twierdzącą odpomniej się zamoczyli. Nie było jak się oprzeć o rozmulone ściany z czarnej ziemi, zimna woda wzmagała chłód.

Milczeli. Za jakiś czas wieś stanęła w ogniu, sucha słoma zapaliła się w mgnieniu oka od zapalających kul. Wszystko trzeszczało. Pisk, lament, wybuchy granatów, niekończąca się strzelanina, ryk zwierząt – wszystko to trwało dobre trzy godziny.

Gdy ucichło, najstarsi, którzy już dłużej nie wytrzymywali w zimnej wodzie, zdecydowali się wyjść.

Tego co zobaczyli, nie sposób opisać ani opowiedzieć.

Dookoła było szaro od chmur i dymu. Cała wieś, jak okiem sięgnąć, dopalała się, wiatru nie było, oczy nie

Nadchodził wieczór. Razem z kilkoma ocalonymi Lidka skierowała się w stronę waruszyńskiego chutoru, pod dach prawosławnych gospodarzy. W sobotę – jeszcze dalej, do Pawłowicz. Następnego dnia wyruszyła do cerkwi, stanęła pod ścianą. Czuła na sobie spojrzenia wiernych – widać doszła już do nich tragedia w Łaskowie i zrozumieli, że jest jedną z tych, którzy ocaleli.

Nagle podszedł do niej starosta.

– Jak nazywali się rodzice ?– zapytał, bo batiuszka chciał ich *pomianut'*.

– Nie, nie, nie – zakrzyczała tak głośno, że odwrócili się wszyscy ludzie w cerkwi. – Oni jeszcze żyją, jeszcze żyją…

Poświęcenie krzyża na miejscu, gdzie stała Pokrowska cerkiew w Pienianach i panichida na miejscowym cmentarzu

Ale nie żyli. Ani Gala, ani brat, ani mama, ani tata. Ciało taty odnalazła w jednej z kryjówek dopiero w czerwcu, po trzech miesiącach.

Też spoczywa na cmentarzu w Łaskowie. Na tym samym cmentarzu, wśród 260 zabitych, spoczywa *swiaszczennomuczennik*, Lew, syn znanej rodziny chełmskich duchownych, Korobczuków (to oni w roku 1954 wywieźli cudowną Chełmską Ikonę Matki Bożej do Łucka). Zginął w schronie razem z parafianami. Osierocił młodą matuszkę **Wierę** i dwoje dzieci – **Raję** i **Lwa**, którzy mieszkali w Chełmie. I o nim, o swoim batiuszce, teraz *swiaszczennomuczenniku* Lwie, pamiętała pani Lidia, wystawiając na cmentarzu pomnik. Na pomniku wyryte jest jego nazwisko.





Zatrzymujemy się przed pomnikiem. Stoi na początku cmentarza. *Swiatyj Boże, swiatyj krepkij* – znów rozlegają się słowa panichidy za wszystkich, którzy na tym cmentarzu spoczywają… Potem krótka modlitwa do *swiaszczennomuczennika*.

Do Kryłowa prowadzi nas batiuszka **Jan Kot**. I Sahryń, i Łasków, i Kryłów zna jak własną kieszeń. To wszystko jego parafia, cały powiat. Ma pod swoją pieczą jedną hrubieszowską cerkiew i 49 cmentarzy. Nietrudno się domyśleć, ile tu było cerkwi.

W Kryłowie stała jedna z nowszych, piękniejszych, *Preobrażeńska*. Bardzo musieli się cieszyć kryłowianie, gdy w 1910 roku rozpoczęli jej budowę i to według projektu samego **Aleksandra Puringa**, absolwenta politechniki w Rydze, z którego pracowni wyszły też cerkwie w Husynnem, św. Paraskiewy w Chełmie czy w Dubience… Cieszyli się tym bardziej, że swoją tymczasową drewnianą przekazali do Biskupic, a finansowo w budowie nowej wsparło ich małżeństwo **Paschałowych** z Moskwy, i pewnie dlatego prace przebiegły tak sprawnie. Władyka **Eulogiusz** wyświęcił ją już w 1911 roku. Nikt wtedy nie przypuszczał, że będą modlić się w niej tak krótko.

Ósmego czerwca 1938 rok specjalne brygady zaczęły walić kryłowską cerkiew. „Podaj Gospodi", „Gospodi pomiłuj" drwił jeden z pracujących przy niszczeniu robotników (zdjęcia z rozbiórki cerkwi zamieściliśmy na okładce lipcowego „Przeglądu"). Przygniotła go padająca ściana.

Cerkiew odarta już z kopuły, dzwonnica też, zrujnowany dach, wybite okna, wszystko w tumanach kurzu. Tylko *liki* świętych na zewnętrznych ścianach wciąż dobrze widoczne, jakby do końca chciały przywołać do opamiętania się, do rozsądku… Ale nikt nie chciał ich słuchać.

Przed cerkwią po drugiej stronie ulicy garstka gapiów, na rowerze, na furmance, piesi.

Nasze autokary zatrzymują się w tym samym miejscu. Przed nami pusty plac. Bo choć w latach 40. podjęto próby prowizorycznego remontu cerkwi, dziś po niej nie ma już śladu.

Drzewa za to porosły bardzo wysokie. Zaczynamy śpiewać *tropar Preobrażenija*, bo cerkiew *Preobrażeńska* była. Spontanicznie, ze łzami w oczach.

– Boże, mój Boże – żali się **Taisa Stupek** z Włodawy. – Toż ja miejsca po swojej cerkwi nie poznałam.

Cerkwi z lat świetności nie może pamiętać, bo w 1938 roku miała kilka lat. Mieszkali zresztą na kolonii, tak ze trzy kilometry od Kryłowa, a odkąd w 1943 roku bandy zabiły ojca, a miesiąc później spaliły całe obejście, uciekli z mamą za Bug, tam byli już do wyzwolenia. Wrócili i „żyli jak pieski" to tu to tam, śpiąc po pustych stodołach, stogach. W końcu Akcja Wisła wyrzuciła ich daleko stąd. Wraz z mężem

wróciła w jego rodzinne strony, do Włodawy. A do Kryłowa przyjeżdża co roku, na mogiłę ojca i dziadków. Dzisiaj też zdążyła je odwiedzić.

„Zniszczona, zaniedbana, zarośnięta dzikim bzem" – tak długie lata pisano o cerkwi w Dołhobyczowie. Dzisiaj już nikt tak nie pisze, bo generalny remont świątyni postępuje z dnia na dzień i kto wie, może już za rok perła architektury bizantyńskiej odzyska swój blask.

– Udało nam się na to otrzymać ogromne pieniądze z tzw. norweskiego mechanizmu finansowego – z dumą mówi władyka **Abel**, który tu właśnie do nas dołączył.

Pieniądze rzeczywiście ogromne, na obie cerkwie, bo projekt obejmuje także remont cerkwi w Szczebrzeszynie, diecezja otrzymała 1,8 mln euro.

Wchodzimy do środka. Prężna musiała być parafia w Dołhobyczowie, bo i cerkiew św. Symeona Słupnika jest naprawdę okazała, a i cmentarz zajmuje powierzchnię ponad hektara.

Na ścianach gdzieniegdzie zachowały się niewielkie fragmenty polichromii – po drugiej wojnie światowej cerkiew długie lata służyła jako magazyn nawozów. Nawozy niszczyły polichromie, cicho i bezlitośnie…

Ostatnie prace? Położono izolację, wylano posadzki, wzmocniono ściany, położono tynki zewnętrzne. Jest już nawet zrekonstruowany według zachowanej dokumentacji ikonostas. Wyszedł z pracowni w Poczajowie i już czeka na swoją kolej w hrubieszowskiej cerkwi. Niebawem przyjdzie czas na tynki zewnętrzne i wewnętrzne, na polichromie.

Da budiet wola Twoja – te słowa z *Otcze nasz* umieszczone tuż u nasady kopuły jeszcze dzisiaj odczytuję bez trudu.



Gdzieś tak przed rokiem władyka Abel otrzymał list z Pienian. **Zdzisława Karwańska**, miejscowa przewodnicząca kółka różańcowego, pisała o zaniedbanym prawosławnym cmentarzu, który kilka razy do roku odwiedzają Ukraińcy (widziała to dobrze, bo sklep ma akurat naprzeciwko). Proponowała pomoc miejscowych przy jego oczyszczeniu.

Szybko otrzymała odpowiedź. I po roku, dzięki zaangażowaniu o. **Jana Jałozy** z Tomaszowa i miejscowej ludności, część cmentarza została doprowadzona do porządku.

W Pienianach też była cerkiew, *Pokrowska*, stała do czerwca 1938 roku.

– A może w tym miejscu postawić krzyż? – zaproponował przy okazji o. **Jan Jałoza**. Inicjatywę poparł przewodniczący Towarzystwa „Chołmszczyna" z Gródka.

I na tegoroczną Pokrowę przywiózł do Pienian dwa duże krzyże. Pierwszy stanął na miejscu zburzonej cerkwi. Wielu przyjezdnych i miejscowych przyszło na jego poświęcenie.

– Na tym miejscu całe wieki wznoszono modlitwę o opiekę Przenajświętszej Bogarodzicy – mówił władyka Abel po jego poświęceniu. – Dzisiejszego popołudnia dajemy świadectwo wiary mieszkańców tej ziemi, naszych przodków. Stawiając ten krzyż upamiętniamy także tych wszystkich, którzy tutaj mieszkali. Oni bowierm współtworzyli historię tej ziemi. Oby Matka Boża, której święto dzisiaj obchodzimy, obdarowała duchową radością także obecnych mieszkańców tej wsi.

Władyka podziękował miejscowym za inicjatywę uporządkowania cmentarza, kilku osobom wręczając Chełmską Ikonę Matki Bożej.

I miejscowi, i *chołmszczaki* posadzili wokół krzyża krzewy.

I wszyscy razem poszliśmy na cmentarz w Pienianach.

Zabrzmiała panichida, a potem krótka modlitwa do męczennika Mikołaja (Borowika), którego w czerwcu nasza Cerkiew przyłączyła do soboru Świętych Chełmskich i Podlaskich.

– Mój brat spoczywa właśnie tutaj, w Pienianach – mówił **Aleksander Borowik**. – Bo właśnie tutaj w Pienianach został zamordowany. Był Wielki Piątek 1943 roku, a on miał dwadzieścia dwa lata. Razem z nim zginęło od dziewięciu do dwunastu prawosławnych. Bandyci zranili też mego szwagra, ale siostrze udało się zakleić ciastem rany i wywieźć go z Pienian, wyżył. Ale w którym miejscu został pochowany mój brat, do dziś nie wiem.

Wyszliśmy z cmentarza, milczeliśmy.

Zmrok robił się coraz większy.

Ałła Matreńczyk
fot. **Andrzej Jekateryńczuk**, **Andrzej Ostapeńko** i **autorka**

Podczas konferencji

Kto chce może się dowiedzieć

To co zdarzyło się w wiosenno-letnich miesiącach 1938 w państwie polskim, z inspiracji polskich władz, dotyczyło polskich obywateli, ale z polskiej pamięci zostało wyparte. – To nie może być prawda. To propaganda – przekonują ci, w których świadomości utrwalił się jasny obraz II Rzeczpospolitej. Jego urealnieniu, zburzeniu stereotypów, może pomóc konferencja, która odbyła się w Chełmie w czasie centralnych uroczystości 70. rocznicy akcji burzenia cerkwi prawosławnych na Chełmszczyźnie i południowym Podlasiu. Naukowcy z Polski i Ukrainy starali się określić przyczyny, odtworzyć przebieg akcji i opisać jej konsekwencje.

Państwo budują czynniki gospodarcze, społeczne i kulturowe. Wydaje się, że na to, co wydarzyło się w 1938 roku, największy wpływ miał właśnie ten ostatni. Prof. **Mirosława Papierzyńska-Turek**, doskonale znająca historię Cerkwi w międzywojniu, poszukując źródeł akcji podkreśliła, że w polityce ówczesnego państwa polskiego ogromną rolę odgrywały nie tylko realia, ale i – niejako pokrywając wszystko inne – dziedzictwo historyczne. Utrwalone w polskiej świadomości społecznej mity narodowe i przekonanie o wyższości kulturowej i społecznej Polaków wobec wschodnich sąsiadów.

Trzeba też wziąć pod uwagę ogromne pokłady pretensji, wrogości, nierozwiązanych problemów, negatywnych opinii, stereotypów. Dopiero wtedy uświadomimy sobie, jaki wpływ spuścizna historyczna miała na polską mentalność i nastroje społeczne.

Badaczka mówiła też o samym Kościele prawosławnym, na który władze państwowe patrzyły wyłącznie przez pryzmat kwestii narodowościowych i politycznych. Nie widziały, czy raczej nie chciały widzieć, w Kościele tym podmiotowości.

Nie chciano też pamiętać o tysiącletniej obecności prawosławia w państwie, jego „rodzimości". Widziano je wyłącznie jako wyznanie obce, narzucone siłą. Jego wyznawców, zwłaszcza w regionach centralnych, a takim była wówczas Lubelszczyzna, postrzegano zatem jako Polaków przemocą oderwanych od polskości, a więc i katolicyzmu, których jak najszybciej trzeba przywrócić dawnemu, dobremu porządkowi. W takiej atmosferze zrodził się zamysł burzenia cerkwi, która to akcja była jednym z elementów innych, zaplanowanych na znacznie szerszą skalę, działań rewidykacyjno-polonizacyjnych. Ich założenia przedstawił **Grzegorz Kuprianowicz**.

Przygotowywanie programu polonizacyjno-rewindykacyjnego rozpoczęto w województwie lubelskim w końcu 1936 r. Wtedy powstał Komitet Koordynacyjny przy Dowództwie Okręgu Korpusu nr II (Lublin), w skład którego weszli przedstawiciele władz wojskowych oraz ponad dwadzieścia polskich organizacji społecznych województw lubelskiego i wołyńskiego.

Bezpośrednio akcją dowodził gen. bryg. Brunon Olbrycht. Z jego inspiracji powstały „Podstawowe wytyczne do polonizacji Chełmszczyzny". Prawosławnych podzielono na trzy kategorie: obojętnych wobec Cerkwi – tych zamierzano nakłaniać do przejścia na katolicyzm, przywiązanych do prawosławia, ale nie będących świadomymi Ukraińcami – z myślą o nich chciano przeprowadzić polonizację prawosławia oraz uświadomionych narodowo Ukraińców, których należało izolować.

Realizację tego zakładano na kilka lat. Zamierzano wykorzystać wojsko, Kościół rzymskokatolicki, szkoły, władze administracyjne, a także miejscowe społeczeństwo polskie, organizacje społeczne, szczególnie Towarzystwo Rozwoju Ziem Wschodnich. Planowano przesiedlenia, by rozbić skupiska ludności prawosławnej. Ziemia miała trafiać wyłącznie w ręce katolików.

Po burzeniu cerkwi zaczęto wprowadzać język polski do nabożeństw, usuwać duchownych nieetatowych, kontynuowano nakłanianie do konwersji na katolicyzm.

Jak w tym czasie traktowano prawosławie w województwie lubelskim? Odpowiedź na to może dać lektura ówczesnej prasy lokalnej. Według **Mikołaja Roszczenki** prasa lubelska dosyć dużo pisała o prawosławiu, głównie, że Kościół ten sieje nienawiść. Pisała o konieczności polonizacji, o tym, że Chełmszczyzna powinna jak najszybciej odzyskać swój katolicki, polski charakter. Pisano też o Towarzystwie Rozwoju Ziem Wschodnich, które miało krzewić kulturę. Nie tyle o rozwój ziem chodziło, co rozwój polskich dusz – dodał historyk. Postulowano spolszczenie prawosławia lub konwersje na katolicyzm. Dominował drugi postulat.

Jak na akcję spoglądali mieszkający w diecezji lubelskiej katolicy opowiadał ks. **Krzysztof Grzesiak**. Przyczyn akcji szukał w 1875 roku i często brutalnych metodach likwidacji unii. Prelegent wypowiedział się też w kwestii popierania akcji przez Kościół katolicki, głównie przez biskupa lubelskiego Mariana Fulmana. Wedle ks. Grzesiaka biskup był jedną z pierwszych osób, które zdecydowanie ją potępiły. Kler pozostał obojętny, może niektórzy duchowni wierzyli, że radykalne działania ułatwią działalność misyjną, jakkolwiek duchowieństwo zadowolone ze skutków likwidacji, lecz metody potępiano.

Bardziej zróżnicowane opinie prezentowali katolicy świeccy. Osoby związane z akcją polonizacyjno-rewindykacyjną uznawały ją za wyrównanie rachunków, za akt swoiście pojmowanej dziejowej sprawiedliwości wobec wrogiego prawosławia, które zostało zaszczepione w sposób brutalny w latach zaborów. Ogół katolików był przekonany, iż również w nowej Polsce Kościół prawosławny jest nadmiernie uposażony w świątynie, niewspółmiernie do liczby wiernych.



Z czasem zaczęły dominować opinie odmienne, ukazujące opłakany wpływ wyburzeń na relacje sąsiedzkie i towarzyskie. Atmosfera stała się wroga. Uznano to za zło. Ta opinia dominuje też współcześnie.

Co w związku z akcją działo się w parlamencie? **Mykoła Kuczerpa** przedstawił działania parlamentarzystów z Wołyńskiego Zjednoczenia Ukraińskiego. Nawet na gruncie sejmu zaprzeczano tak barbarzyńskiej działalności polskiego rządu. Długo milczano tam na ten temat. Potem posłowie Zjednoczenia zabierali głos w tej sprawie, co prawda nieczęsto, ale z dużym zaangażowaniem. Składali interpelacje, szerząc informacje o tych wydarzeniach.

Można powiedzieć, że podobną postawę przyjęli posłowie i senatorowie z Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej. Jak mówił **Mirosław Szumiło** posłowie ci, grekokatolicy, podkreślający że do wyburzeń dochodzi na terenie, gdzie przeważa mienie punickie, nie spodziewali się cokolwiek wywalczyć, ale starali się nie zaprzepaścić szansy na informowanie. Wydali w języku polskim broszurę „Cerkiew prawosławna na Chełmszczyźnie. Przemówienia, interpelacje posłów i senatorów w sejmie i senacie", gdyż wystąpienia parlamentarne były chronione przed konfiskatą państwową.

Do tego ugrupowania należał poseł Stefan Baran. W interpelacji, drukowanej w lipcowym numerze „Przeglądu", która – jak się okazało – na skutek interwencji wicemarszałków Sejmu była ocenzurowana, zadawał polskim władzom pytania, domagając się wyjaśnienia sytuacji, pociągnięcia do odpowiedzialności osób odpowiedzialnych za akcję burzenia i szykanowanie prawosławnych, także znieważenie zwierzchnika Kościoła, metropolity Dionizego. W prezydium rady ministrów zachowała się niepublikowana odpowiedź na pytania zadane przez posła.

Premier Felicjan Sławoj-Składkowski stwierdził: *Pozostała po zaborczym rządzie rosyjskim sieć cerkwi prawosławnych na terenie województwa lubelskiego nie stała w żadnym stosunku do potrzeb religijnych ludności prawosławnej, dla której zasadniczo wystarczały istniejące etatowe parafie i filie w liczbie 54. Zbędne świątynie prawosławne w liczbie 130 były ponadto w ciągu całego szeregu lat częstokroć ośrodkami antypaństwowej działalności politycznej poszczególnych duchownych prawosławnych, co wywoływało zamęt we współżyciu miejscowej ludności. W tych warunkach należało zbędne świątynie zlikwidować, co też w sposób spokojny, częstokroć przy udziale miejscowej ludności prawosławnej, zostało dokonane*.

Dalej premier zaprzeczył większości zarzutów zawartych w interpelacji, dotyczących niewłaściwego zachowania się urzędników i policjantów, stwierdził też, że starosta Wielanowski nie znieważył metropolity Dionizego, lecz uczynił to wobec tomaszowskiego dziekana prawosławnego i dodał: *Wymienieni w interpelacji duchowni i wierni wyznania prawosławnego nie byli prześladowani i karani na podłożu wyznaniowo-religijnym, lecz za czyny kolidujące z przepisami kodeksu karnego lub postępowania karno-administarcyjnego*.

Czy o tym, co dzieje się na Chełmszczyźnie wiedziano? Według **Witalija Makara** głośno o tym mówili Ukraińcy mieszkający w Kanadzie. Pisano o akcji w prasie amerykańskiej, gdzie według **Krzysztofa Latawca** zamieszczono informacje o pikiecie przed konsulatem polskim w Nowym Jorku, w której nazwano ją barbarzyńską. Prasa brytyjska nie poruszała tej kwestii.

Najdobitniej zabrzmiała wypowiedź prawnika **Pawła Boreckiego**. Wynikało z niej niezbicie, że akcja, zarówno w świetle prawa (ustawodawstwa) polskiego, jak i międzynarodowego, była bezprawna.

Młody naukowiec z Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej, **Łukasz Jasina**, zwrócił uwagę, jak ważna w kształtowaniu pamięci historycznej czy spuścizny historycznej, o której wspominała prof. Papierzyńska-Turek, i która miała wpływ na atmosferę 1938 roku, jest pamięć popularna. Współcześnie kształtują ją także portale internetowe, którymi się zajął **Andrzej Wawryniuk**. Okazało się, że tylko na niecałych czterech procentach spośród ponad pięciuset zakwalifikowanych do badań nieprawosławnych portali można było znaleźć konkretne treści dokumentujące burzenie cerkwi. Dobrze, że organizatorzy obchodów uruchomili portal poświęcony akcji.

Wróćmy jeszcze raz do pamięci historycznej. Wydarzenia, takie jak z 1938, brutalne, smutne, czekające 70 lat na słowa skruchy ze strony przedstawicieli państwa, które jednak wydarzyły się w Polsce i dotyczyły jej obywateli, według **Łukasza Jasiny** w polskiej pamięci historycznej mogą zaistnieć po spełnieniu kliku warunków. Jednym z nich jest uznanie za równorzędne historii głoszonej przez polską większość i historii głoszonej przez mniejszości. A poznanie tej ostatniej, przedstawionej z wielu stron, przez naukowców, organizatorzy konferencji, diecezja lubelsko-chełmska, Towarzystwo Ukraińskie w Lublinie i Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Chełmie, umożliwili. Materiały zaprezentowane podczas konferencji mają się ukazać w formie książki w przyszłym roku.

Natalia Klimuk
fot. **autorka**

Rok 2008, z inicjatywy patriarchatu ekumenicznego, został nazwany rokiem Apostoła Pawła. Zamykamy go fragmentem rozważań o tym apostole i jego nauczaniu pióra św. Mikołaja Serbskiego.

Jeżeli nie zmartwychwstał



Pego dnia, gdy krewki i energiczny uczeń Gamaliela, fanatyczny faryzeusz Saul pędem ruszył do Damaszku, żeby pojmać i aresztować ludzi tak samo myślących jak zabity nieco wcześniej diakon Stefan, została przesądzona przyszłość młodego, dopiero co stającego na nogi chrześcijaństwa. Jego największy prześladowca stał się jego największym obrońcą i żarliwym głosicielem. Żądza prześladowania Chrystusa, za którą Saula traktowano z szacunkiem (Dz. Ap. 22,3-5;26,4-5), w jednej chwili zamieniła się w pragnienie, by za Nim pójść. Ta zmiana, sama w sobie niezwykła, jeszcze bardziej zdumiewa swoją szybkością.

Tego samego dnia i o tej samej godzinie, kiedy Saul razem z całą watahą pomocników zastanawiał się nad jeszcze bardziej radykalnym sposobem zniszczenia „oszczerców" starej wiary, jakby narodził się całkowicie inny człowiek, tak bardzo różny od poprzedniego, jak tylko jedna skrajność różni się od drugiej. Saul, który dotarł do Damaszku tego pamiętnego dnia, tak znaczącego zarówno dla niego, jak i losów całego chrześcijaństwa, różni się od Saula, który wyszedł rano z Jerozolimy, jeszcze bardziej niż Saul pomazaniec Boży od Saula mrocznego zawistnika i Dawid – bohater od Dawida – żądnego krwi intryganta, bardziej niż syn marnotrawny od syna, który się pokajał, bardziej niż Tomasz Becket, wspaniały królewski kanclerz, od Tomasza Becketa obleczonego we włosienicę, śpiącego na zimnym kamieniu i z własnej woli codziennie poddającego się biczowaniu…

Zdarzenie, które przydarzyło się Saulowi w drodze do Damaszku, trudno jest nam sobie wyobrazić. I jeżeli następstwo powinna poprzedzać odpowiednia przyczyna, to i ta ostatnia musi być nadzwyczajna, wyjątkowa…

Przede wszystkim ten młody Izraelita nie jest jednym ze zwykłych, pospolitych ludzi. Nie jest podobny do rzeszy rodaków oceniających swoje własne przekonania na nie więcej niż 30 srebrników. Jest jednym z wybranych, od początku obdarzonych pięcioma talentami, nie chcących ani jednego zakopać w ziemi. On, podobnie jak wszyscy inni przywódcy ludzkiego rodu, od małego jest oddany dziełu Boga. Ten świat dla niego nie jest areną ludzkiej samowoli i bezmyślności, a Bożą „pracownią", w której powinien istnieć także plan zajęć. Wszyscy, którzy nie podążają w ślad za tym planem, działają wbrew niemu. Wrogów Boga Saul uważa także za swoich wrogów. Kiedy zbliżał się do Damaszku, był święcie przekonany, że faryzeuszowski system wierzeń oparty jest na Bożym zamyśle, a głoszenie zmartwychwstałego Jezusa, skazanego przez ten system na ukrzyżowanie, wyrosło z kłamstwa i egoistycznych pobudek. Jak te dwa pojęcia nagle mogą zamienić się rolami? Gdyby Saulowi za jego wyrzeczenie się faryzeuszostwa zaproponowano królewską godność w Palestynie albo obsypano bogactwami, jakie tylko jest w stanie wymyślić ogromna wschodnia fantazja, i gdyby rzucono do jego stóp wszystko to, co przewrotny kusiciel był gotów wręczyć Jezusowi na pustyni – to któż mógłby wątpić, że Saul na wszystko to odpowiedziałby zdecydowanie: *Odejdź ode mnie, szatanie!*

Wszelka próba wyjaśnienia, że nawrócenie Saula nastąpiło wskutek działania prostych przyczyn opiera się na nieznajomości zarówno jego duszy, jak i charakteru. Przecież w żaden sposób nie przypomina on działaczy, którzy tylko w części są przekonani co do głoszonej przez nich prawdy. U niego „tak" to „tak", a „nie" to „nie" (2 Kor 1,17). Prawda, którą pewnego dnia posiadł, wchodzi w jego ciało i krew. Jego osoba jest ważna jedynie jako nosiciel tej prawdy (Gal 2,20). Prawda dla niego jest zawsze droższa od jego osobistych wyobrażeń i zamierzeń.

Za swoje przekonania znosi ciosy w więzieniu, kamieniowanie, katastrofy statku, głód i pragnienie, chłód i nagość (1 Kor 11,23-27), walczy z dzikimi zwierzętami (1 Kor 15,32) i umiera męczeńską śmiercią. Trudno jest sobie wyobrazić bardziej ciernistą drogę niż ta Pawła.

Ale wybrał ją nie dlatego, że nie miał lżejszej i przyjemniejszej – któż bowiem w Jerozolimie był godniejszy niż Saul, by zastąpić mądrego Gamaliela. Któż miał większą szansę na wysokie tytuły i honory? I nie dlatego, że zgodnie z jego przekonaniami była to jedyna ukazana mu przez Boga droga.

Nie mamy żadnych podstaw wątpić w to, że wiele cennych cech charakteru Paweł posiadał także przed tym zdarzeniem na drodze do Damaszku i że nie stracił ich także w przyszłości. Do nich zaliczyć należy w pierwszym rzędzie stałość przekonań. Ale jeśli tę główną cechę posiadał w dwóch różnych okresach swego życia, znowu pojawia się pytanie: co mogło zachwiać i zniszczyć jego początkowe, faryzeuszowskie, credo, podczas gdy jego nowemu, chrześcijańskiemu, credo nie mogło przeszkodzić żadne zło.

Nwrócenie Pawła na drodze do Damaszku na rycinie Gustwa Dorè

Poświadczenie zmartwychwstałego Chrystusa. Pierwsza pisemna wzmianka o tym widzeniu podana została przez ap. Pawła w XV rozdziale Pierwszego Listu do Koryntian, napisanego dwadzieścia lat po śmierci Jezusa. Wierni w Koryncie, rozkosznym epikurejskim mieście, poddawali w wątpliwość zmartwychwstanie. Paweł przekonuje ich o realności tego wydarzenia, opierając się nie na myślowej konstrukcji, a na własnym doświadczeniu. Ten fakt jest już znany Koryntianom z poprzedniego kazania apostoła, o czym świadczą słowa: *Przypominam, bracia, Ewangelię, która wam głosiłem, którąście przyjęli i w której też trwacie* (1 Kor 15,1).

Na czym polegała ta Ewangelia? Na głoszeniu jakiegoś nowego bóstwa czy moralności? Nie, ale przede wszystkim na początku (1 Kor. 15,3) na głoszeniu tego, że zmarły i pochowany Chrystus zmartwychwstał i że po Jego zmartwychwstaniu widzieli Go bliżsi i dalsi uczniowie, a na końcu i on, Paweł. Nie poświęca on tutaj zbyt wiele miejsca pojawieniu się Chrystusa, jedynie przypomina wiernym o swym kazaniu, w którym, naturalnie, usłyszeli o tym zadziwiającym wydarzeniu. Apostoł niejednokrotnie odwiedzał ich w Koryncie, opowiadał, jak i co z nim się stało i czym podyktowane jest jego zwrócenie się ku Chrystusowi. Oczywiście Koryntianie z dużym zainteresowaniem wypytywali go o wszystkie szczegóły tego wydarzenia, a on niewątpliwie o wszystkim ich informował.

To właśnie w tym szczegółowym, ustnym, wyjaśnieniu kryje się przyczyna tego, że Paweł nigdzie w swoich Listach nie skupia się na opisywaniu objawienia, które spowodowało, że przeszedł do obozu naśladowców Chrystusa. Jego nawrócenie było dobrze znane w chrześcijańskich wspólnotach. Wszyscy ci, których Paweł przyprowadził do Chrystusa, powinni byli znać to nadzwyczajne wydarzenie, które opisuje nam towarzysz podróży Pawła, apostoł Łukasz (Dz 9). Ale i sam Paweł tego nie tai, informując o nim przy każdej okazji. Broni się tym przed swoimi rodakami (roz. 22), albo usprawiedliwia przed królem Agrypą (roz. 26), opowiadając o tym sieje słowo w imię dzieła Chrystusa. Tak że wszędzie, gdzie Paweł głosi Ewangelię, to znaczy Zmartwychwstanie Chrystusa – czy to w Antiochii (roz.13), Atenach (roz.17), Koryncie czy w jakimkolwiek innym miejscu – przekaz tego cudownego wydarzenia należy uznać za fakt. I jest to w pełni naturalne – jego osobiste doświadczenie jest największym dowodem.

Paweł głosi nową religię, zdecydowanie różniącą się od helleńskich pięknych „ boskich” mitów. Jego kazanie oparte jest nie na fantazji i spekulacyjnych wywodach, a na tym, co przeżył. Głosi to co widział. Nie niszczy wiary Ateńczyków w niewidzialnego Boga (Dz. 17,23), ale temu do czego doszedł ludzki rozum proponuje nowe potężne oparcie w doświadczeniu.

Autor Dziejów Apostolskich wiernie i świadomie przekazuje słowa Pawła. Od niego dowiadujemy się o dwóch niezwykle ważnych prawdach, dotyczących osoby i kazania jego nauczyciela: pierwsza to ta, że właśnie w zjawieniu się Chrystusa tkwi przyczyna szybkiego przełomu w życiu Pawła, i druga – Zmartwychwstanie Chrystusa stanowi epicentrum jego ewangelicznego kazania. Jedno i drugie potwierdza także apostoł w swoich Listach.

Zdarzało się, że pod nieobecność apostoła Pawła w niektórych chrześcijańskich wspólnotach starano się poderwać jego autorytet, opacznie, ze szkodą dla wiary słabych, tłumacząc jego słowa. Dlatego w niektórych sytuacjach Paweł odczuwał konieczność obrony nieomylności swego kazania, powołując się na swoją przeszłość. *Czy nie jestem apostołem?* – pyta. *Czyż nie widziałem Jezusa Chrystusa, Pana Naszego?* (1 Kor 9,1). Swoje poprzednie działania apostoł przywołuje także w liście do Galatów, zakładając że szczegóły jego nowego życia pośród wiernych w Galacji są już znane (możliwe, że od osób trzecich, ale niewątpliwie także od niego samego). Galacjanie słyszeli, że *prześladował Cerkiew Bożą*, że był *nieumiarkowanym obrońcą ojcowskich tradycji* i że objawienie Syna Bożego położyło temu kres i skierowało go na inną drogę. Jest to zgodne z zapisem św. Łukasza.

To samo odnosi się także do kazań apostoła Pawła. Z opisu danego przez św. Łukasza jasno wynika, że właśnie Zmartwychwstanie Chrystusa stanowiło ich epicentrum.

Przekonanie o tym, że Chrystus żyje także po śmierci, że Bóg ożywił Go i że żywy zjawił się swoim uczniom, stanowi podstawę całego teologicznego, chrystologicznego i moralnego światopoglądu ap. Pawła. (…)

Ale jeśli ktoś, niczym Koryntianie, zacznie przekonywać, że nie ma powstania z martwych i że Chrystus nie zmartwychwstał, to co wtedy pozostaje z Pawłowego nauczania? I z całego chrześcijaństwa w ogóle?

Przecież także dzisiaj wielu chrześcijan myśli, jak zresztą wielu sądziło także w minionych latach i jak też mędrkowali Koryntianie, że mogą nazywać się chrześcijanami nie wierząc w Zmartwychwstanie. Chrześcijaństwo dla takich ludzi jest jedynie systemem stosowanej życiowej mądrości, Chrystus natomiast nauczycielem owej mądrości, podobnym do Sokratesa, albo – prędzej – do Konfucjusza. Oni twierdzą, że sedno dobrej nowiny, przyniesionej przez Jezusa a głoszonej przez Pawła, tak samo jak i nauczanie Sokratesa i Konfucjusza, polega na mądrych receptach z zakresu urządzenia tego ziemskiego życia, w społecznie korzystnym uregulowaniu stosunków wzajemnych między ludźmi. W jaki sposób tacy ludzie mogliby zanegować nieustanne kazanie Pawła o Zmartwychwstaniu i Zmartwychwstałym? Niczym innym, jak tylko powtórzeniem słów Festusa: *Tracisz rozum, Pawle!* (Dz 26, 24). Zresztą bardziej niż oczywiste jest to, że i Paweł odpowiedziałby na wszystkie ich rozważania o chrześcijaństwie bez Zmartwychwstania tak, jak Koryntianom na ich niewiarę: *Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, to i daremne jest nasze nauczanie, próżna wiara wasza* (1 Kor 15,14). Jeżeli Chrystus nie

zmartwychwstał, to wtedy w ogóle nie ma zmartwychwstania. Wtedy i wszystkie nasze wierzenia co do obecności Opatrzności w historii, zwycięstwa dobra i nadchodzącego Sądu są zaledwie głupimi uprzedzeniami. Wtedy i ludzie rodzą się na ziemi jedynie po to, żeby stać się osobami króciutkiego dramatu w niekończącym się potoku czasu i przestrzeni, żeby swoją mizerną radością i bezgranicznym smutkiem – bezsensownym koncertem – uczynić jeszcze bardziej absurdalnym przepastne królestwo śmierci. Wtedy dla nas cenny jest jedynie ten człowiek, który jest w stanie przynieść nam natychmiastową korzyść w tym życiu, uczynić ziemski byt bardziej znośnym albo jeszcze lepiej – skrócić go. Wtedy i nasza nadzieja w Chrystusa nie wychodzi poza to życie.

Dla ap. Pawła ta myśl była nieznośna i nie do przyjęcia. Była ciężarem nie do udźwignięcia, duszącym jego swobodny oddech. I dlatego widząc przepaść, do której wiedzie takie mędrkowanie (a lekkomyślni Koryntianie bardzo szybko je przyswoili), rozpaczliwie wykrzykuje: *Jeśli tylko w tym życiu w Chrystusie nadzieję pokładamy, jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania* (1 Kor 15,19). A wtedy jedynym celem naszego życia byłoby *jedzmy i pijmy, bo jutro pomrzemy* (1 Kor.15,32; Iz.22,13). Zresztą, nawet jeśli cały świat pogrążyłby się w takim mędrkowaniu, apostoł Paweł na przekór całemu wszechświatu twierdziłby zupełnie co innego, to znaczy że śmierć, ten ostatni wróg, została zwyciężona i że to zwycięstwo darował nam Bóg poprzez Chrystusa (1 Kor 15,26-57). I wtedy znowu wróciłby do tego zadziwiającego wydarzenia, do swego niebiańskiego doświadczenia, do wydarzenia, które się odbyło w obecności wiernych świadków. I znowu zacząłby przypominać wszystkim o przełomie, o krachu i odrodzeniu, które wielką kreską oddzieliło dwoje ludzi – zdolnego ucznia Gamaliela, który pewnego dnia wyruszył z Jerozolimy w „krzyżowy" bezlitosny pochód przeciwko wrogom Boga Abrahama, Izaaka, Jakuba, i apostoła pogan, płonącego ogniem żarliwości do zmartwychwstałego Chrystusa. On nie przestawałby powracać do podstaw swojej dobrej nowiny, Ewangelii, to znaczy do Zmartwychwstania Zmarłego a więc i wszystkich zmarłych. I niezależnie od tego, w którym miejscu wątpliwość przetarłaby wspaniałą tkaninę jego nauki, natychmiast rzucałby się do środka, żeby stamtąd przynieść świeżą ozdrawiającą osnowę. I niezależnie od miejsca, w którym ciemność zaczęłaby zagrażać jego dziełu, pospieszyłby do skoncentrowanego światła, do tego samego, które pewnego razu przed Damaszkiem oślepiło go i powiedziało mu niewiarygodną dotąd tajemnicę.

Tylko w obszarze tego światła zrozumiałe są słowa Pawła o Bogu, Chrystusie i miejscu człowieka w tym świecie. Jego kazanie w istocie jest niczym innym, jak Ewangelią Zmartwychwstania. To należy podkreślić zwłaszcza w naszych czasach, kiedy niektórzy „bogowie" przypuszczają, że klucz do nauczania Pawła znaleźli w faryzeuszowskim doktrynerstwie, albo we wschodnim etycznym rygoryzmie, albo w platonizmie. Bezspornie, w poglądach Pawła są miejsca zbieżne z wywodami trzech wyżej wspomnianych kontemplacyjnych spekulacji. Ale te zapatrywania nie są najważniejsze i najistotniejsze w nauczaniu Pawła i tym bardziej go nie wyczerpują. Jeżeli nawet najpoważniejsi krytycy tzw. paulinizmu spróbowaliby te i podobne opinie, tzw. „nieoryginalne" elementy, jakie uważają za podstawę nauczania Pawła, sprowadzić do ich „czysto historycznej ważności", ze zdziwieniem stwierdziliby, że odwieczny fundament tego nauczania pozostał nienaruszony. Ale jakiego nadzwyczajnego błędu dopuściliby się, gdyby przyjęli, że chociaż jedno słowo kazania Pawła potrafiłoby wystać bez podstawy o zmartwychwstaniu Chrystusa! Dopiero wtedy myliliby się nie mniej, niż wszyscy ci, którzy przypuszczają, że chrześcijaństwo bez wiary w nieśmiertelność może cokolwiek znaczyć.

Św. Mikołaj Serbski (Velimirowicz)
tłum. **Ałła Matreńczyk**

Poświęcenie pomnika „Niegasnąca świeca", którego 22 listopada w Kijowie dokonał metropolita Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi Włodzimierz, było głównym akcentem uroczystości w 75. rocznicę Wielkiego Głodu (ukr. Hołodomor). Wielki Głód na Ukrainie, zwłaszcza w południowo-wschodniej części, ale objął też niektóre rejony Rosji, Powołże, Kubań i Kazachstan, w latach 1932-1933 wywołany został decyzjami władz ZSRR, które sprzedały niemal całe zbiory za granicę. Nałożyła się na to wymuszona kolektywizacja, zakaz podróżowania czy tzw. „dekret o pięciu kłosach", na mocy którego śmiercią lub wieloletnim łagrem karano tych, którzy uszczknęli cokolwiek z kołchozowego pola. Pamięć ofiar Wielkiego Głodu uczczono ogólnonarodową chwilą ciszy i zapaleniem przez prezydenta Juszczenkę „Niegasnącej świecy". W Polsce także się za nie modlono. 27 listopada Arcybiskup lubelski i chełmski **Abel** przed budynkiem Trybunału Lubelskiego odsłużył w ich intencji panichidę.

W koszmarze Hołodomoru

Życie nauczyło ją, że człowiek może przetrwać wiele. Silny charakter sprawił, że przeżyła Hołodomor, budowała kolej pod Leningradem, pracowała w kopalni w Donbasie, fabryce w Niemczech, przemyśle tekstylnym w Manchesterze i samochodowym w Oshawie w kanadyjskiej prowincji Ontario. Tu, własnymi rękami, założyła stuakro-



Fenia Klen i jeden z pomników poświęconych ofiarom Wielkiego Głodu

wą farmę i zbudowała dom na nowej ziemi.

Fenia Samochin-Klen nie zna dokładnej daty swych urodzin. Metryki zaginęły w koszmarze stalinizmu. Na pewno urodziła się w 1918 roku, ale w roku 1955, emigrując do Kanady, chciała pracować w otwierającej się fabryce wielkiego koncernu samochodowego. Starszych nie przyjmowali, więc odmłodziła się o kilka lat. – To sekret – uśmiechając się puszcza do mnie oko prawie – w co trudno uwierzyć – dziewięćdziesięcioletnia kobieta.

W listopadowe niedzielne popołudnie spogląda na płomień palącej się świecy. – Ciii, proszę popatrzeć, jak intensywnie płonie – szepcze z zadumą.

Dzieciństwo w rodzinnej Radaliwce niedaleko Krzemieńczuka w rejonie Hłobyn było spokojne, dopóki nie nadszedł okres kolektywizacji. **Semen Klen**, ojciec dziewięciorga dzieci, gospodarujący na siedmiu hektarach, opierał się przystąpieniu do kołchozu. W okolicy tworzono ośmio-dziewięcioosobowe brygady.

– Odebrano nam wszystko, abyśmy umarli – mówi. – Rozkułaczano wszystkich, od takich jak my *bidniakiw* po najbogatszych *kurkuli*.

W lipcu 1932 roku Semena Klena uwięziono w Krzemieńczuku.

Jesienią na wschodniej i centralnej Ukrainie rozpoczął się Wielki Głód, nazywany Hołodomorem, który pochłonął trzy i pół miliona ofiar (niektóre źródła podają nawet dwa razy tyle). Nie zapłacono pracującym cały rok kołchoźnikom, choć latem 1932 roku był wielki urodzaj. Wszystko sprzedano za granicę.

– Dzieci, idzie głód, zakopmy skrzynie ze zbożem – zarządziła matka.

Drabinę, po której można było dostać się na strych, gdzie składowali kukurydzę, Fenia celowo ukryła daleko w krzakach. Nachodzący ich aparatczycy kołchozowi odchodzili więc z niczym. Niewielkim nakładem, z własnych uli, zrobili skrzynie, do których nasypali ziarno. Dwadzieścia skrzynek ukryli w hektarowym sadzie.



– Każdej nocy odkopywaliśmy jedną z nich, żeby nabrać miseczkę kukurydzy i ugotować kaszę. A wciąż do nas przyjeżdżali, długimi kijami nakłuwali ziemię przy domu, sprawdzając czy niczego w niej nie ukryto. Z czasem w zacieraniu śladów pomagał mróz i śnieg.

– Czym wy żyjecie? – pytano podczas takich kontroli. – Duchem Świętym – któregoś razu Fenia odpowiedziała butnie, za co jeden z oprawców omal jej nie pobił. – Zabobony jeszcze w sobie nosisz – warknął ironicznie.

Jednak jedzenia nie wystarczało. Matka zarabiała na chleb, chodząc osiem kilometrów do kołchozu, żeby wyplatać ludziom swetry i rękawice. Przewodniczący kołchozu, wiedząc że nadchodzi głód, nie dał wywieźć zboża. Rozdał je kołchoźnikom, za co został rozstrzelany.

W grudniu 1932 roku Fenia z rodzeństwem pojechała zobaczyć ojca. W Krzemieńczuku sowieci nasypali na placu wielki jak góra piasku stos pszenicy. Nadeszła zima, pod śniegiem zboże zaczęło gnić. Stos obstawiono uzbrojonymi żołnierzami. Strzelali, kiedy głodujący przychodzili, żeby sobie nabrać choć trochę.

– Widziałam, jadąc do ojca, jak dymiącą z zepsucia pszenicę wywożą, żeby wrzucić do Dniepru.

Ojciec był tak chudy, że skóra wisiała na kościach. Rodzinie nie wolno było ani dotknąć, ani przywitać się z więźniem. Dzielił ich blat stołu. Z osłabienia mówił szeptem. Dowiedzieli się, że sowieci w jednej celi, w której nie otwierano okien ani drzwi, przetrzymują dwudziestu pięciu więźniów. W kącie stała, służąca za sanitariat, beczka. Pewnego razu zemdlonego Semena wyniesiono do kostnicy. Ocknął się bez butów, w samych kalesonach. Straże zaprowadziły „nieboszczyka" z powrotem do celi.

– Puśćcie tatę, zaniesiemy go do domu na rękach – błagały strażników przerażone dzieci, którym kazano przyjść nazajutrz. Rankiem powiedziano im, że już został pochowany. – Teraz musimy się trzymać razem, żeby nie umrzeć z głodu – powiedziała matka.

Fenia, najstarsza z rodzeństwa, przyrzekła sobie, że zrobi wszystko, żeby uratować rodzinę.

W domu, razem z matką, zostało ich sześcioro. Najmłodsza **Luba** miała trzy lata.

Godność ludziom odebrano znacznie wcześniej. W 1926 roku miejscową cerkiew zamieniono na magazyn zbożowy. Miała osiem lat, ale pamięta, jak o. **Marczenko** uciekł, unikając zsyłki. Jego syna i córkę wywieziono na Syberię. Podobny los spotkał nauczycieli. Dopiero w 1933 roku otwarto szkołę, do której odprowadzała młodsze rodzeństwo. Przerosła Fenia opiekowała się rodziną. Edukację skończyła na pierwszej klasie w 1926 roku. Nauczy-

ła się czytać i pisać. Matka uważała, że skoro potrafi napisać list, to w życiu nie zginie.

Wiosną 1933 roku wyszukiwała jaja dzikich kaczek i czajek, a nawet wykopywała zgniłe ziemniaki. Po odczyszczeniu, odkrojeniu skórki, ze środka można było wybrać zielony krochmal i ususzyć na mąkę. Z ptasich jaj i zielonej mąki piekła *ołatki*, rozdzielając każdemu równo, po jednym. Luba nie zjadała wszystkiego, więc Fenia chowała jej porcję do kieszeni, by dać potem najbardziej potrzebującemu. Kiedy skończyły się zapasy, ludzie zaczęli jeść wszystko. Pewnego razu zniknął im pies. Brat zobaczył go uwiązanego u sąsiadów i uratował. Następnym razem jednak psinę zjedli.

Któregoś razu na podłodze domu sąsiadów zobaczyła zakrwawioną kobietę. Błagała o coś do zjedzenia. Była tak osłabiona z głodu, że szczury poobgryzały jej uszy i nos. Następnego dnia zobaczyła, jak mąż wynosił jej ciało. Jakiś czas potem na drodze spotkała przepełniony trupami wóz z chutoru. Ręce i nogi zwisały z niego bezwładnie. Konie ugrzęzły w glinie i trzeba było wszystkie ciała wyładować.

Wkrótce okazało się, że ciała wywożono do niedalekich urobisk glinianych i przykrywano gliną. Późną wiosną zaroiło się tam od robactwa, węży i jaszczurek, że nie sposób było podejść.

Bała się podchodzić nawet do leżących na ziemi. Natomiast przed ludźmi napotykanymi na drodze uciekała przerażona. – Dzieci, nie chodźcie nigdzie – przestrzegała matka, bo dochodziły słuchy o przypadkach kanibalizmu.

Zaczęły się polowania na ludzi.

W sąsiedztwie, w błotnistej dolinie, gdzie rosła trzcina, mieszkał **Marko Winiczenko**. Wiosną 1933 roku chodzili zbierać słodkie bazie tej trzciny. Winiczenko miał czworo dzieci. Syna w wieku Feni, o dwa lata młodszą córkę i dwoje młodszych w wieku trzech i półtora roku. Zaniepokojona, powiedziała mamie, że od wiosny nie widziała żadnego z nich. – Może ci się tylko tak wydaje – uspokoiła matka.

– Chodź Feniu, pójdziemy na słodkie bazie – pewnego razu zaproponowała młodsza **Olena**.

Obok podwórza Winiczenków spotkały gospodarza. – Wejdź Olena do nas, żona chce cię zobaczyć – złapał dziewczynkę za rękę. Fenia zabroniła siostrze iść za nim. Tydzień wcześniej widziała uciekającą od nich przez okno, w podobny sposób zwabioną, kobietę. Weszła napić się wody, a wtedy **Zina Winiczenko** zabarykadowała drzwi, Marko zaś rozglądał się za nożem. Zdesperowany, zaczął gonić uciekinierkę. Kobietę uratowało nadejście woźnicy z wywożącym trupy wozem. Wkrótce Fenia zobaczyła, jak wynoszą z domu ciała Winiczenków i dwójki młodszych dzieci. Pod podłogą znaleziono kości i czaszki starszych.



Innym razem, odprowadzając do szkoły młodszą siostrę, usłyszała dziwne pohukiwanie. To wdowa **Nastia** zachęcała: – Dzieci, wejdźcie do mnie! Dam wam jeść.

Jedna z dziewcząt dała się namówić. Nadaremnie czekały na nią koleżanki. W szkole powiedziały, gdzie **Hala** poszła. Nauczycielka zawiadomiła milicję. Pod stołem odkryła ona zabite dziecko, przykryte niecką. Okazało się, że wygłodniała kobieta oślepiła dziewczynkę wrzątkiem, a potem udusiła. Nie było to jej pierwsze morderstwo.

– W naszym chutorze mieszkało trzydzieści sześć rodzin. Pamiętam wszystkich, dorosłych i dzieci, z którymi wypasaliśmy bydło. Wszyscy poumierali – wspomina. Przeżyła jedynie w oddalonym o pół kilometra domu kobieta z dwojgiem dzieci. W rodzinie Klenów, dzięki zabiegom Feni, przeżyli wszyscy. W krytycznych momentach ratowano się przed śmiercią, zjadając liście na krzakach. Uratowało ich też to, że dom stał na chutorze, bo gdyby mieszkali w samej wsi, na pewno by nie przeżyli.

Wiosną posadzili trochę grochu, który matka skrzętnie ukrywała, bo zabrali jej wszystkie inne nasiona. Nadal trwały rewizje, kończące się pytaniem, dlaczego nie zdechli? Głód minął, kiedy latem urosło na polach zboże.

– Nie czekaliśmy, aż dojrzeje. Zrywaliśmy zielone kłosy.

Nocą chodziła i zrywała, a po wysuszeniu, mieliła na mąkę w żarnach. Następnie mieszała ze zmielonymi wyłuskanymi kolbami kukurydzy, wypiekając z tego placki. Matka, od czasu do czasu, przynosiła zarobione

wiaderko ziemniaków, buraków lub chleb.

Rodzina Klenów długo nie przystępowała do kołchozu. Mimo rozgrywającego się wokół dramatu wciąż ich nachodzono. – Mamo, trzeba zapisać się, bo nie dadzą nam żyć – prosiła.

Każdorazowo zabierano im i niszczono nawet łyżki i miski, bo ściany domu od dawna były puste. W końcu zapisali się wiosną 1934 roku. Odtąd pracowała w kołchozie i niespodziewane wizyty skończyły się. Z natury pracowitej dziewczynie, w jeden dzień wypracowującej dwudniową, a niekiedy trzydniową normę, dopisano premię. Zarobiła siedemdziesiąt pięć rubli i kilka worków zboża.

– Kiedy ścina się drzewo, trzeba wyrwać też korzenie – wmieszał się działacz partyjny, nawiązując do historii Semena Klena. Powiedział, że jego dzieci też są wrogami, bo długo opierały się wstąpieniu do kołchozu. Pozostali kołchoźnicy nie szczędzili Feni pochwał za pracowitość, ale zrugana młoda dziewczyna wstydziła się.

Tymczasem naliczono im dwusturublowy podatek za mieszkanie we własnym domu. Matka musiała hodować króliki i sprzedawać w mieście, aby uniknąć wyrugowania.

– Powiedziałam mamie, że w kołchozie dalej pracować nie będę i pojechałam do Leningradu, budować linię kolejową.

Od sierpnia 1935 roku wraz z sześcioma dziewczętami z Radoliwki pracowała w ciężkich warunkach

pod Leningradem.

Młode robotnice ulokowano w lesie w prowizorycznych namiotach z brezentu. Wszędzie hulał wiatr.



Przyszedł listopad, napadał śnieg, a dziewczętom powiedziano, że zimę spędzą w namiotach.

– Już po nas – przeraziła się Fenia, bo rano miała na sobie pierzynę ze śniegu. Zdecydowała się wrócić. Koleżanki przy niej czuły się bezpiecznie i same nie chciały zostać. Nakazała dziewczętom, by nie mówiły o planowanej ucieczce. W mroźny listopadowy wieczór wróciły wieczorem z pracy i zamiast spać, zabrały niewielkie walizki i uciekły. Na stacji chciały kupić bezpośredni bilet do Krzemieńczuka, ale kolejka do kasy była podwójna. Uciekających przed pracą w zimie było dużo więcej. Obrotna dziewczyna bezskutecznie próbowała wcisnąć się do kolejki. Koleżanki siedziały na walizkach i czekały. Grupą zainteresował się wyrozumiały, jak się okazało, milicjant i zapytał, dokąd uciekają. Powiedziała prawdę, a on, wskazał jej okienko, gdzie sprzedawano bilety do pobliskich stacji. Poradził kupić bilet do pierwszej stacji, byle się wydostać i ostrzegł przed depczącą im po piętach milicją.

Utknęły na trzy dni pod białoruską granicą. Brakowało biletów, ale kiedy przejeżdżały pociągi, widziały dużo wolnych miejsc. Płaczącymi dziewczynami zainteresowali się pracujący na kolei mężczyzna z kobietą, jak się okazało Ukraińcy.

Kolejarz postukał w okienko, nakazując sprzedać dziewczętom bilety. Wydano tylko cztery. Pociąg nadjechał i w pośpiechu wskoczyły do wagonu, płacząc za dwiema koleżankami pozostawionymi na peronie. Na pierwszej stacji w oknach sąsiedniego wagonu ujrzały znajome głowy. Ich radość nie miała końca.

W komplecie w ciągu ośmiu dni, z przesiadką w Krzemieńczuku, dotarły do Hłobyna. Pieniędzy wystarczyło jedynie na bilet, więc nie mając nic do jedzenia, piły tylko wodę. Z Hłobyna do domu było sześćdziesiąt kilometrów, ale nie miały sił iść pieszo. Fenia znów przejęła ster w swoje ręce i z jedną z dziewcząt poszły po prośbie.

– Ciociu, czy możemy dostać coś do jedzenia – zapytała kobietę przy studni. Poprzednia zatrzasnęła im drzwi przed nosem. Ta wyniosła ogromny bochen chleba. Dziewczyny chciały rzucić się do jedzenia, ale Fenia pamiętała, jak matka podczas Hołodomoru pouczała, że szybkie zapełnienie wygłodzonych jelit może zakończyć się śmiercią. W półgodzinnych odstępach wydzielała im po kawałeczku. Zaprowadziła też na stację, gdzie zwożono zboże. Spotkały tam wóz z odległych o dwanaście kilometrów od Radaliwki Wielkich Krynek. Stamtąd szły pieszo. Dziewczęta rozeszły się do domów, zmartwiona Fenia usiadła pod lasem i do zachodu słońca rozmyślała, że tym razem nie pomoże owdowiałej matce. Wstydziła się, że wraca z pustymi rękami.

Anna Rydzanicz
zdjęcia archiwalne **wydawnictwa Tyrsa**, współczesne **autorka**



Bobrownicka cerkiew, powitanie władyki Jakuba i poświęcenie krzyży





Krzyże na cerkwi w Bobrownikach

W Bobrownikach, przy granicy z Białorusią, 19 października 2008 roku władyka **Jakub** poświęcił dwa ośmioramienne krzyże. W chwilę potem zostały one posadowione na kopułach świątyni Zmartwychwstania Pańskiego i dzwonnicy.

Drewnianą cerkiewkę na cmentarnym wzgórku wzniesiono bardzo szybko. Kamień węgielny wyświęcił biskup **Jakub** 27 października 2006 roku. Do tamtego zdarzenia nawiązał władyka w swoim słowie do licznie zgromadzonych wiernych.

– Dwa lata temu – mówił – przybyło tu nas wielu. Cieszy mnie, że jest tak i dziś. A to znaczy, że o. Roman, proboszcz mostowlańskiej parafii, potrafi gromadzić ludzi wokół siebie i dobrego dzieła. Dzisiejsza uroczystość w Bobrownikach to kolejny ważny moment w budowie, jak też w życiu parafii. Krzyż na dachu to zwieńczenie pewnego etapu prac. A potem, myślę, że w ciągu dwóch lat, wyświęcimy cerkiew.

Wtedy zacznie się życie tej świątyni. Tak, świątynia żyje, bo w cerkwi są służby Bogu, przychodzą ludzie, uczestniczą w św. Liturgii. Budowa świątyni jest ważna dla parafian, bo dobre dzieło łączy ludzi. Takie przedsięwzięcie jest także ważne dla proboszcza. Mostowlany to pierwsza parafia o. Romana i pierwsza budowa cerkwi. Wiadomo, że parafia jest mała, niezbyt bogata. Ojciec Roman więc nie zbierał pieniędzy na budowę, ale starał się dotrzeć do ludzi, którzy dawali potrzebne materiały i pracowali. Po dwóch latach mamy widoczne efekty. To wielki sukces młodego proboszcza..

Do budowy cerkiewki doszło, można powiedzieć, w zwyczajny sposób.

O. **Roman Kiszycki** opowiada: – Nasza parafia, choć jedna z najmniejszych w diecezji białostocko-gdańskiej, jest dosyć rozległa.

Mieszkańcy Bobrownik, a jest tu około pięćdziesięciu prawosławnych, mają do Mostowlan około ośmiu kilometrów. To parafianie w większości starsi. Brak tu dobrej komunikacji między wsiami. W rozmowach ze mną zaproponowali: „Ojcze, zbudujmy cerkiew na cmentarzu w Bobrownikach". Podjęliśmy decyzję o budowie, władyka Jakub błogosławił. I da Bóg, w niedługim czasie będą w tej świątyni służby.

Cerkiew będzie służyć także mieszkańcom Chomontowiec, Jaryłówki i Skroblaków.

Wśród zgromadzonych na uroczystości poświęcenia krzyży był także autor projektu świątyni i krzyży **Jerzy Uścinowicz**. Ma w swoim dorobku dwadzieścia projektów świątyń (wliczając w to kaplice). Z nich zrealizowano pięć cerkwi i trzy kaplice.

– Ojciec Roman – mówi Jerzy Uścinowicz – proponując mi udział w tym przedsięwzięciu od razu zauważył, że parafia jest uboga. Dodał, że znalazł ofiarodawcę drewna na budowę świątyni. Taki był początek naszej współpracy. Budulec (drewno i kamienie polne) narzucał formę projektu. Powstała świątynia drewniana. Bliskość Białorusi także miała wpływ na formę.

Architektura cerkiewki nawiązuje do drewnianej chaty białoruskiej. Dawniej na Białorusi takie świątynie były proste, budowano je na planie kwadratu. Taką też zaprojektowałem dla Bobrownik.

Jest też ciekawa innowacja – dzwonnica, połączona integralnie z cerkwią, będzie również miejscem na poświęcenie wody na Jordan.

Świątynia pięknie prezentuje się od strony drogi prowadzącej na Białoruś. Będzie świadczyć o prawosławiu na tych terenach, a w pewnym sensie nawet neutralizować granicę. W Polsce od dawna drewnianych świątyń nie budowano. Pięknie byłoby, aby dzieła rozpisania cerkwi podjęła się Bielska Szkoła Ikonograficzna.

Michał Bołtryk
fot. **Jerzy Uścinowicz** i **autor**

Parafia św. Jana Teologa
w Mostowlanach
Bank Spółdzielczy
Oddział w Gródku
60 8060 0004 0392 7690 2000 0010
z dopiskiem
„Cerkiew w Bobrownikach"

Ojciec i synowie

Pomnik rodziny prawosławnego duchownego, o. Szymona Fedorońko, odsłonięto w przededniu Święta Niepodległości w Warszawie. Stanął na rogu Jagiellońskiej i Alei Solidarności, upamiętniając bohaterską śmierć ojca i trzech synów w obronie kraju podczas II wojny światowej.



Trudno o lepszą lokalizację monumentu. W bliskim sąsiedztwie liceum, którego absolwentami byli trzej synowie batiuszki – **Aleksander**, **Wiaczesław** i **Orest** – i niedaleko soboru, do którego chodzili się modlić i w którym ich tata, o. Szymon Fedorońko, naczelny prawosławny kapelan Wojska Polskiego, na pewno odprawiał nie raz.



To on poległ jako pierwszy. Zginął w wieku czterdziestu siedmiu lat w Katyniu. Mógł uniknąć śmierci, bo Sowieci z obozu jenieckiego wywieźli go do Moskwy i tam proponowali współpracę. Odmówił. Wrócił do Kozielska i podzielił los wszystkich jeńców.

Skąd rodzina dowiedziała się o jego śmierci? Z imiennych list wywieszanych przez Niemców w 1941 roku. Matuszka **Wiera** długo nie chciała w to uwierzyć.

Najstarszy syn Aleksander był już w Anglii. Przedostał się tam po klęsce wrześniowej, został pilotem 300 dywizjonu bombowego RAF. Poległ w kwietniu 1944 roku nad Niemcami, jego grób znajduje się w Mannheim. Miał dwadzieścia sześć lat.

Pewno nic nie wiedzieli o jego śmierci bracia, gdy 1 sierpnia chwycili za broń i poszli na powstańcze barykady. Kilka tygodni wcześniej, dwudziestoczteroletni Wiaczesław, absolwent podziemnej podchorążówki, zdołał wywieźć do podwarszawskiego Komorowa swoich najbliższych – mamę, żonę w ciąży i córeczkę **Aleksandrę**.

W powstaniu był zastępcą dowódcy IV kompanii Poraja, w zgrupowaniu GURT. Zginął 18 sierpnia na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich, gdzie dziś stoi rotunda PKO, podczas ataku na bar Żywiec.

Jego 22-letni brat Orest poległ już 1 sierpnia. Walczył w komendzie dywersji, w oddziale Kosego, w batalionie saperów praskich.

Matuszka Wiera z synową ekshumowały ciała w lutym 1945 roku. Obaj bracia spoczęli na wolskim cmentarzu.

– Najbardziej cieszy mnie to, że pomnik naszej rodziny zrodził się z inicjatywy społecznej – podkreśla córka Wiaczesława, Aleksandra Fedorońko-Adamczewska, która razem ze swoją siostrą **Wiesławą Sokorską** przybyła na uroczystość. – I że jego odsłonięcie miało taką uroczystą oprawę.

Inicjatywa rzeczywiście była społeczna, bo wyszła od absolwentów Liceum im. Władysława IV i Towarzystwa Przyjaciół Pragi. Odsłonięcie pomnika nastąpiło po św. Liturgii z okazji 90. rocznicy odzyskania niepodległości, a wzięli w nim udział metropolita **Sawa**, arcybiskup **Miron**, biskup **Jerzy**, prezydent **Lech Kaczyński**, przyjaciele rodziny Fedorońko, wierni.

– Kiedy słyszałem historię tej rodziny, przypomniała mi się historia wielu innych polskich rodzin, polskich, co nie oznacza zawsze katolickich, nie mających inne niż polskie korzenie – powiedział prezydent. – Takim przykładem jest właśnie ta rodzina i takie rodziny stanowią podstawę siły i potęgi Rzeczypospolitej. To przykład wielobarwności naszej kultury i charakteru naszego narodu, naszego narodu, który jest narodem w sensie historycznym i politycznym, a nie w sensie plemiennym. Niezmiernie się cieszę, że tuż obok katedry stoi pomnik upamiętniający taką właśnie polską prawosławną rodzinę, rodzinę, która była wzorem ofiarności i patriotyzmu, wzorem poświęcenia.

Aleksandra Fedorońko-Adamczewska serdecznie podziękowała społeczności praskiej za wzniesienie pomnika.

– Moi przodkowie po mieczu, (…) to gorący patrioci wyznania prawosławnego. (...) Bo Polakiem prawdziwym nie jest się z nazwiska, ale z serca i czynu – powiedziała.

Ałła Matreńczyk
fot. **o. Andrzej Baczyński**



Zaczynasz rozmawiać ze świętymi



W pajęczynie rusztowań, wysoko pod kopułą cerkwi, prawie nie widać **Wiktora Downara**, ikonografa. Z bieli tynku wydobywa Downar postacie świętych – ich oblicza, szaty, dłonie. Żyje jak mnich. Wśród świętych spędza nawet po kilkanaście godzin dziennie.

– Każdy święty ma inny charakter – mówi. – Jedni są surowi, inni tacy bliscy, pełni ciepła, kochani. Oczywiście, że wszyscy powinni być kochani. Ale nie do każdego możesz ot tak po prostu podejść, bez dystansu. Ikonopisiec mówi i o innym doświadczeniu.

– Gdy piszesz świętego, nagle znajdujesz w swoim sercu oddźwięk, niezależnie od tego, czy twoja głowa jest napełniona o nim wiedzą, czy przeczytałeś o nim tylko krótką wzmiankę. To jakieś przeżycie mistyczne, niezależne ode mnie. Mój syn, Aleksy, także ikonopisiec, opowiada o podobnych odczuciach.

Był początek lat 90. Na Białorusi kryzys. Upadł Związek Radziecki i wszystkie republiki zachowywały się jak nieporadne dzieci, wrzucone do głębokiej wody. Mińskie studio filmowe, w którym Wiktor Downar pracował jako reżyser filmów animowanych, skurczyło swoją produkcję z dziesięciu filmów rocznie do dwóch-trzech. Wtedy Downar przyjechał ze swoim kolegą i szwagrem jednocześnie, **Aleksandrem Łosiem**, do Polski na festiwal muzyczny. Aleksander pasjonował się muzyką ludową i starymi instrumentami. Downar jeszcze w czasach komunistycznych pisał ikony, po cichu w domu, dla przyjaciół, tłumacząc że wciąga go staroruska sztuka.

Czyże

Obaj poszli do metropolity **Sawy**, wtedy arcybiskupa białostocko-gdańskiego. Przedstawili się jako ikonopiscy. Otrzymali od władyki adresy budujących się cerkwi. Jeździli od jednej do drugiej. Jedna nie miała jeszcze tynków, inna wyskrobane do dna pieniądze. Chcieli już wracać do domu. Ale zahaczyli jeszcze o Czyże. Tam ikonostas czekał na swego ikonopisca. Zostali. Przyjął ich o. **Jan Romańczuk**. Sami robili wszystko – strugali deski, przygotowywali farby. Miejscowi niecierpliwili się – jak to, rok czekać na ikony! Kiedyś przyjeżdżali artyści i w dzień – dwa malowali ikonę. W ciągu kilku tygodni byłyby gotowe ikony do całego ikonostasu.

Wyjaśniali więc miejscowym, jaka jest kanoniczna ikona. Ikona to nie tylko święty obraz, to także sprawa kanonu, tradycji, mówili. Ikona ma ocalić to co przekazano nam z głębi wieków.

W Czyżach spędzili dwa lata. Potem o. **Andrzej Jakimiuk**, proboszcz parafii świętych apostołów Piotra i Pawła w Siemiatyczach, zaprosił ich do siebie. Tam pokryli polichromią wnętrze całej cerkwi.

W Czarnej Białostockiej pisali ikony do ikonostasu i zadziwiali się nad ofiarnością małej grupki prawosławnych, którzy po raz pierwszy w historii tego miasteczka zbudowali dwupoziomową cerkiew i dom parafialny.

W Białymstoku do cerkwi Świętego Ducha napisali prawie wszystkie ikony do trzech ikonostasów oraz do kiotów. 250 ikon. Tu deski przygotowywali im stolarze. Z lipowego drewna, bo ono dla ikony najlepsze.

Mińsk

Mińsk był niczym oddech. Po tylu latach pracy z dala od domu i rodziny, o. **Ioan Charaszewicz** zaprosił ikonopisców do Mińska, by w XIX-wiecznej cerkwi św. Marii Magdaleny wykonali freski. W cerkwi kładziono świeży tynk.



I choć prace były bardzo skomplikowane i wymagające żelaznej dyscypliny – jak przy malowidłach na mokrym tynku – wszystko szło niezwykle sprawnie. Batiuszka zapewniał ikonopiscom wszystko.

W Tarasowie koło Mińska, niegdyś rodowej siedzibie książąt Ostrogskich, zbudowano w ostatnich latach cerkiew.



Do jej *rozpisi* zaproszono Downarów. Wiktor powiedział wtedy do syna **Aleksieja**: – Jesteś samodzielnym artystą. Kładź polichromię a ja ci tylko będę podpowiadał.

– Aleksy z radością zabrał się za pracę. Odnowiło się w nim zainteresowanie ikoną i freskami z niebywałą siłą – komentuje ojciec. – To był jego wzlot. Widziałem, jak całe serce oddawał białej ścianie, z której wyłaniały sie postacie świętych.

Cerkiew latających krzyży

I znowu Białystok. Tym razem cerkiew *Woskresieńska* na Słonecznym Stoku. – Wspaniała parafia – mówi Wiktor Downar. – Siedzieliśmy na rusztowaniach, prawie niewidoczni dla ludzi, ale wszystko widzieliśmy. Jedni parafianie byli biedni, inni bogaci. Pierwsi nieśli głównie trud, drudzy pieniądze. Ileż tam było dobrych, skromnych ludzi, którzy regularnie przychodzili na nabożeństwa, a potem zamawiali u nas ikony jako dar od siebie czy całej rodziny.

– *Woskresieński chram* nazwaliśmy świątynią latających krzyży. Tego zjawiska prawie nikt poza nami nie widzi. Otóż kończysz pracę późnym wieczorem. Gasisz światło. I wtedy, w ciemności, rozpoczyna się teatr krzyży. Ulicą jadą samochody. Rzucają snopy światła. Światło wpada przez okna o kształcie krzyża. Jasne krzyże odbijają się na sklepieniu cerkwi. Zaczynają „latać” po całym wnętrzu. Piękne zjawisko. Zachodzące słońce też wyrysowuje krzyże na ścianach cerkwi. Ale te przesuwają się wolno, dostojnie.

Wnętrze cerkwi Świętego Ducha na Antoniuku jakże inne od *Woskresieńskiej* – analizuje ikonopisiec. – Pierwsza jakby przestrasza ogromem swego wnętrza, druga, choć też niemała, sprawia wrażenie przytulnej. Całe wnętrze *Woskresieńskiej* było dla mnie niezwykle zrozumiałe. Od razu wiedziałem, jaką opowieść biblijną, w którym miejscu należy umieścić. W bryle tej cerkwi spotkała się wiedza i fantazja architekta. Architekt musiał znać Tradycję, Pismo Święte, jednocześnie nowoczesne prądy w architekturze, by móc zaproponować taką formę świątyni.

W cerkwi na Słonecznym Stoku ikonopiscy z Białorusi po raz pierwszy zastosowali z powodzeniem nową technologię kładzenia farb na suchym tynku. Użyli barwników niemieckiej firmy, produkowanych na bazie płynnego szkła. Mogli przy tej technologii szybciej kłaść polichromię, uzyskując lepszy efekt – zbliżony do fresku, czyli używania jako podłoża mokrego tynku.

Te farby są drogie. Warte jednak zastosowania, bo ściana pod nimi oddycha. Para nie skrapla się na malowidłach i nie cieknie po nich strużkami woda. Farba głęboko wnika i dobrze trzyma się podłoża.

Ikonique w Siemiatyczach

Do Wiktora Downara przyjechała żona **Natalia**, reżyserka, dziennikarka, artystka. I wtedy przyszła do niego kobieta z Siemiatycz. Przyniosła deskę i bardzo prosiła, by Wiktor napisał jej ikonę św. Eliasza. Wtedy nie było jeszcze w Siemiatyczach cerkwi *Woskriesieńskiej*, w której szczególnie czci się św. Eliasza. Napisał. Pomagała mu żona. Mijały lata i w 2005 roku Wiktora Downara z grupą Ikonique zaproszono do Siemiatycz. Wybudowano tam cerkiew *Woskriesieńską*. Potrzebni byli ikonopiscy.

Tym razem Downar junior przejął rolę szefa grupy. Przez trzy lata grupa wykonała tysiąc metrów kwadratowych polichromii, pokrywając trzy piąte powierzchni przeznaczonej na malowidła.

Powstało monumentalne dzieło, niezwykle spójne w swej ewangelicznej opowieści, w kolorystyce i w rytmie przedstawień. Czuje się w nim wyraźny rytm kompozycji. Artyści stosują w pewnych momentach oddech, jakby rozrzedzenie opowieści, by na tym tle mogły wybrzmieć treści najważniejsze, takie fortissimo duchowego przekazu.

Spójrzmy na kopułę główną – tam barwy delikatniejsze, jaśniejsze, strzeliste rzec można, i na półsferę nad częścią ołtarzową, gdzie wszystko nabiera granicznej w tej kompozycji wagi i intensywności zarazem. Matka Boża Tronująca z Dzieciątkiem w otoczeniu Ojców Cerkwi skupia naszą uwagę. Przyciąga wzrok dostojność, powaga i piękno kompozycji.

Kolor jakby schodził z góry, od najjaśniejszego po najciemniejszy. Tam wiedzie on dialog z niebem, tu mocuje



fundamenty cerkwi. Jakby już barwa chciała podkreślić – oto świątynia zbudowana na dobrym fundamencie, na skale, oto dom Boży, który prowadzi ku światłości, Królestwu Niebieskiemu. Kolor i kompozycja ma wydobywać, podkreślać zamysł architekta. I w siemiatyckiej cerkwi to czyni.

Kolor tła srebrno-błękitny, u dołu przechodzący w przetrawioną zieleń, utrzymuje całość kompozycji w dyscyplinie i spójności. Tu nawet ornamenty, wchodzące na kolumny czy łuki, grają misternością wzorów i wysmakowaną kolorystyką, też poddane są dyscyplinie.

Piękno, szlachetność i spójność malowideł cieszy duszę i oczy. W cerkwi w Siemiatyczach powstaje dzieło dojrzałe. Chwała proboszczowi *Woskriesieńskiej* parafii o. **Bazylemu Litwiniukowi** i radzie parafialnej, że wybrali takich ikonopisców.

O Cerkwi i twórczości

– W dzieciństwie nie wychowywano nas w Cerkwi – mówi Downar o swoim pokoleniu. – Do cerkwi przychodziliśmy poprzez kulturę – literaturę, malarstwo, choć w czasach komunistycznych między kulturą świecką a duchową stawiano wyraźną granicę. Wszystko co cerkiewne nazywano antykulturą.

Uważam, że dziś Cerkiew powinna oświecać ludzi, proponując im swoje najlepsze dzieła. One powinny inspirować literatów, twórców kina, teatru, malarzy. Świecka kultura, jeśli odejdzie od sfery duchowej – a to zjawisko obserwujemy – poprowadzi nas do katastrofy. Bez Cerkwi, bez moralnego ładu, bez strachu Bożego człowiek zwyczajnie ginie. Zjada sam siebie. Spotykam ludzi, którzy zatrzymują się gdzieś po drodze. Mówią: – Wiemy, że Bóg istnieje, obejrzeliśmy film o świętym, przeczytaliśmy książkę o ikonie, pojechaliśmy na pielgrzymkę. Ale wiedza to za mało. Niezbędne jest żywe uczestnictwo w liturgicznym życiu Cerkwi.

Cerkiew powinna skupiać całe piękno – w architekturze, ikonografii, śpiewie, słowie. Bo świątynia ma



Wiktor Downar z o. Bazylim Litwiniukiem

przypominać Królestwo Niebieskie. Dlatego Cerkiew musi uczestniczyć w twórczym życiu, organizować je. Cerkiew powinna nieustannie coś wiernym proponować.

Dam przykład. Oto trwa budowa cerkwi. Wiele osób żyje budową. Ale ona się kończy. Ludzie odpoczywają, siadają na kanapach przed telewizorami. Topnieją więzi między nimi. Gdzieś uchodzi radość tworzenia. Zakrada się duch ospalstwa.

By do tego nie dopuścić, trzeba organizować warsztaty sztuki cerkiewnej, wykłady, koncerty, koła zainteresowań. W twórczości bowiem człowiek potrafi znaleźć jakąś nieoczekiwaną radość. Bo jest to radość życia w Bogu.

Anna Radziukiewicz, fot. **autorka** i **Andrzej Karpowicz**

W Supraślu przy dzwonnicy

Od kilku miesięcy supraska dzwonnica jest owinięta folią jak delikatna roślina, mało odporna na mrozy. Trwa generalna renowacja budynku wzniesionego w połowie XVIII wieku. Remont zbliża się ku końcowi. – Ale pracy w monasterze – mówi biskup supraski Grzegorz – wystarczy dla kilku pokoleń.

Renowacja dzwonnicy ma kosztować półtora miliona złotych. Pieniądze z budżetu państwa przyznano dzięki inicjatywie posła **Eugeniusza Czykwina**, który zgłosił w Sejmie poprawkę, przyjętą po wielotygodniowych zabiegach. Do Supraśla dotarły w połowie sierpnia 2008 roku. Zgodnie z umową z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego nie są przeznaczone na refundację już wykonanych prac, stąd dopiero wtedy remont mógł się rozpocząć. O tym wszystkim opowiada **Adam Musiuk**, przedstawiciel ds. inwestycji monasteru supraskiego. – Mało dano nam czasu na tak skomplikowane roboty – mówi – jednak do końca listopada trzeba się rozliczyć z dotacji, więc do tego terminu prace muszą być wykonane.

Co zostało zrobione, co się robi, a czego się z powodu braku pieniędzy nie wykona? Na dzwonnicy położono nowy tynk. Ale to nie była prosta sprawa. Dzwonnica, tak jak kiedyś budowano – objaśnia Adam Musiuk – została postawiona na kamieniach, które stanowiły fundament. W owym czasie – XVIII wiek – nie kładziono między fundamentem a murem izolacji poziomej. Dziś zwykle jest to papa, która chroni mury przed przesiąkającą wodą. Trzeba było zatem zastosować izolację chemiczną, nawiercając gęsto otwory w murze nad fundamentem i wlewając tam żywicę. Były to prace



skomplikowane z powodu niejednakowej grubości murów. Ale wszystko zrobiono tak jak trzeba.

Potem przystąpiono do naprawy więźby dachowej i wymiany blachy na dachu. Ekspertyzy sugerowały, że nie potrwa to długo. W czasie prac budowlanych okazało się jednak, że więźba dachowa wymaga niemal całkowitej wymiany, jej pozostawienie groziłoby katastrofą. Za 1,5 miliona złotych z ministerstwa zostanie wykonana elewacja i więźba dachowa, zabraknie zaś trzystu tysięcy złotych na blachę i pokrycie dachu.– Teraz pod czujnym okiem władyki Grzegorza piszemy projekty i składamy je w różnych miejscach z prośbą o przyznanie dotacji. Na szczęście hasło „Supraśl" – mówi Adam Musiuk – otwiera nam wiele drzwi. Liczymy, że uzyskamy dalszą pomoc na dokończenie prac przy dzwonnicy.



– Myślę – dodaje władyka Grzegorz – że wybraliśmy dobrych posłów. Cieszę się, że są związani z monasterem od wielu lat, bywają tu często, zawsze interesują się naszymi potrzebami. Wiem, że chyba żadne spotkanie posła Eugeniusza Czykwina z przedstawicielami najwyższych szczebli władzy nie obywa się bez wspomnienia o supraskim monasterze i potrzebie pomocy przy jego restauracji. Mieliśmy też szczęście, że trafił się nam taki ktoś jak Adam Musiuk, człowiek szczerze oddany sprawom supraskiego monasteru. Pan Adam właściwie jest dzieckiem Supraśla, tu powtórnie się narodził. A jak to było, niech sam opowie.

– Na początku lat 90. – wspomina Adam Musiuk – jeszcze jako student Politechniki Białostockiej często przyjeżdżałem do supraskiego monasteru. Władyka Miron wziął mnie pod swoją opiekę. Wiedząc, że studiuję budownictwo, często rozmawiał ze mną o odbudowie monasteru. Po studiach pracowałem w biurze projektowym. Na Zwiastowanie miałem sen, w którym stałem przed Supraską Ikoną Matki Bożej. Rano w pracy usłyszałem, że właśnie zostałem zwolniony. Pamiętając sen, nie zląkłem się jednak. Niedługo potem były trzy chirotonie władyków – Jakuba, Mirona i Grzegorza. Od biskupa Mirona, gdy składałem mu gratulacje, usłyszałem: – Będziesz potrzebny w Supraślu. Wówczas przez rok biskupem supraskim był władyka Jakub. Z nim ustaliliśmy formy naszej współpracy i w ten oto sposób już od dziesięciu lat jestem w Supraślu. Przy mnie cerkiew Zwiastowania zwieńczono, pokryto pałac archimandrytów dachówką, zrewaloryzowano budynek przeznaczony na Akademię Supraską. Początkowo ludzie ze zdziwieniem mówili: – Taki młody, a tak wielkie inwestycje prowadzi? Nie dziwię się im, bo supraski monaster to jeden z najważniejszych zabytków na Podlasiu. Zdaję sobie sprawę, że dostałem duży kredyt zaufania od jego przełożonych. Staram się wykonywać swoje obowiązki sumiennie. Z czasem zdałem sobie sprawę, że pracując tu muszę orientować się nie tylko w problemach budowlanych, ale i teologicznych. Ukończyłem więc podyplomowe studia teologiczne na Uniwersytecie w Białymstoku. Cały czas czuję, że pracując w Supraślu uczestniczę w czymś wielkim. Nawet pracownikom budowlanym tłumaczę często – nie robicie na pięć-dziesięć lat, ale na sto. Wszystko tu ma wymiar historyczny. Tutaj nie odczuwam trudów pracy. Natomiast stale spotykam się z wdzięcznością braci monasteru i władyki.

Adam Musiuk pracuje także na Politechnice Białostockiej, na wydziale architektury. Najogólniej mówiąc, uczy przyszłych architektów, jak wznosić budynki. 19 listopada na wydziale budownictwa obronił pracę doktorską.



Plany na następny rok są ambitne – kończy spotkanie władyka Grzegorz. – Chcemy pozyskać środki na pokrycie dachu dzwonnicy oraz restaurację elewacji tzw. Żaczka, konieczne jest wykonanie parkingu przed monasterem. Najważniejsze jednak, aby w murach monasteru wzrastało życie duchowe i na to liczę najbardziej.

Obecnie w Sejmie trwają prace nad budżetem państwa na 2009 rok. Już tradycyjnie poseł Eugeniusz Czykwin rozpoczął starania o pieniądze na dalszy remont supraskiej ławry. Nie tylko prawosławni mieszkańcy Białostocczyzny liczą, że w tych staraniach nie zostanie osamotniony.

Michał Bołtryk
fot. **Adam Musiuk** i **autor**



W dobrym kierunku

Z ambasadorem
Republiki Białoruś w Polsce
PAWŁEM ŁATUSZKĄ
rozmawia
Anna Radziukiewicz

– Jest Pan jednym z pierwszych ambasadorów niepodległej Białorusi w Polsce.

– Pod warunkiem, że uznamy, że piąty ambasador jest jednym z pierwszych. Mówiąc jednak poważnie, czułem się zaszczycony, że mogłem pełnić rolę ambasadora niepodległej Republiki Białoruś w Polsce, w kraju ważnym dla Białorusi.

– Zaczynał Pan w okresie, gdy relacje polsko-białoruskie w sferze politycznej były bardzo trudne.

– Przeżyliśmy i ciągle przeżywamy niełatwy okres we wzajemnych stosunkach. Jednak należy mieć nadzieję, że wszystko się ustabilizuje. Pamiętajmy, że między naszymi narodami nigdy w przeszłości nie było poważnych problemów. Na pewno miały miejsce jakieś przykre incydenty, ale one nie wpływały na bieg wydarzeń. Przez kilka wieków pozostawaliśmy we wspólnym organizmie państwowym i naród białoruski ma istotny wkład w tworzenie tego organizmu.

– Bardzo niska jest jednak świadomość wspólnych historycznych korzeni i pokojowego współżycia wśród Polaków. Może więc obie strony powinny stworzyć wspólną komisję do spraw podręczników, w której pojawiłyby się treści dotyczące historycznych relacji obu narodów?

– Przede wszystkim chciałbym, żeby Polska i inne kraje zrozumiały, że Białorusini jako naród stanowią część ogólnoeuropejskiej historii, że mają prawo budować swój kraj i mają ku temu historyczne podstawy. I chciałbym, żeby tego typu wiedza znalazła miejsce w polskich podręcznikach. Ogromną rolę odgrywają tu politycy. Oni powinni z szacunkiem podchodzić do niepodległości każdego kraju, uznając też prawo narodów do samodzielnych wyborów przy budowaniu swojego państwa.

– W ostatnich miesiącach nastąpiło ocieplenie w stosunkach między Warszawą i Mińskiem.

– Ostatnie sześć lat to czas dość skomplikowanych relacji polsko-białoruskich. Były okresy ochłodzenia i ocieplenia. Miały miejsce spotkania prezydentów i premierów obu krajów, wzajemne wizyty ministrów spraw zagranicznych, ale i wydalenie dyplomatów i ich przywrócenie. Dziś proces zmierza w dobrym kierunku – kontaktowania się i podtrzymywania dialogu. Cieszę się z tego. W tym roku odbyły się spotkania przedstawicieli różnych ministerstw, posiedzenia praktyczne wszystkich komisji polsko-białoruskich – gospodarczej na szczeblu wicepremierów, do spraw współpracy transgranicznej na szczeblu wiceministrów spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych, komisji do spraw spuścizny historycznej i kulturowej i komisji do spraw nauki na szczeblu właściwych wiceministrów. Swe prace w ramach współpracy międzynarodowej rozpoczęło pięć bilateralnych grup roboczych i cztery podkomisje. Ważnym wydarzeniem było spotkanie w Wiskulach ministrów spraw zagranicznych Białorusi i Polski, którzy omówili około dwudziestu różnych kwestii. Spotykają się ministrowie gospodarki, energetyki, transportu, infrastruktury, rolnictwa, sportu i turystyki. Czy te spotkania i prace służą obu narodom? Na pewno. W ciągu sześciu lat nastąpił sześciokrotny wzrost obrotów pomiędzy naszymi krajami. Dynamika tego wzrostu w tym roku też jest bardzo dobra. W ciągu dziewięciu miesięcy obroty handlowe wzrosły o 70 procent w stosunku do ubiegłego roku.

– Co Białoruś głównie eksportuje do Polski?

– Eksportuje ponad tysiąc różnych grup towarowych. Sporo dostarczamy produktów ropopochodnych, wytwarzanych w dwóch dużych rafineriach w Nowopołocku i Mozyrzu. Jesteśmy jednym z największych dostawców oleju napędowego na rynek Polski. Sprzedajemy też białoruską ropę, wydobywaną koło Homla, sole potasowe, energię elektryczną, produkty z drewna, ciągniki, autobusy, samochody ciężarowe, wywrotki do kopalń. Cieszę się, że po ulicach Białegostoku i Hajnówki, Katowic oraz innych polskich miast jeżdżą już białoruskie autobusy marki MAZ. Dziesiątki tysięcy białoruskich ciągników pracują na polskich polach. Dziewięćdziesiąt procent wywrotek, pracujących w polskich kopalniach to potężne nawet 50-tonowe białoruskie maszyny. Każdego roku sprzedajemy Polsce od stu do trzystu samochodów ciężarowych. Sprzedajemy więc i surowce, i produkty wymagające dużego wkładu myśli technicznej. Dodam, że od dwóch lat cieszy się powodzeniem na polskim rynku nasza wódka, zaczęliśmy sprzedawać chleb białoruski. Myślę, że wartość obrotów handlowych sięgnie w tym roku trzech miliardów dolarów USA, razem z usługami – 3,7 mld. Dla porównania w 2002 roku było to około 0,5 mld.

– Zwykło się uważać, że najłatwiej doprowadzić do wymiany kulturalnej, trudniej do naukowej, najtrudniej do gospodarczej. Czy ta zasada dotyczy także relacji polsko-białoruskich?

– Kultura nie jest najłatwiejszym obszarem w naszych relacjach, choć historycznie Polska i Białoruś mają bardzo wiele związków w sferze kultury. Wszak na ziemi białoruskiej urodził



Podczas otwierania Centrum Kulturalnego Białorusi w Białymstoku śpiewa zespół Nierusz z Mińska

się Mickiewicz, Kościuszko, Ogiński, Radziwiłłowie, Moniuszko, Domejko, Kapuściński i wiele innych wielkich postaci. Są oni świadectwem, na ile sobie jesteśmy bliscy. Niezależnie jednak od historycznej bliskości, dobre relacje w kulturze nie mogą istnieć bez wsparcia rządów i odpowiednich instytucji. Cieszę się, że w tym roku wznowiła swe posiedzenie komisja do spraw kultury na szczeblu wiceministrów kultury Białorusi i Polski. Ustala ona kierunki współpracy. Tu jednak niestety przed nami jeszcze długa droga.

– Mimo wszystko staracie się promować kulturę białoruską w Polsce.

– Co roku nasza ambasada i placówki konsularne organizują około stu przedsięwzięć kulturalnych. Cieszę się, że w tych latach udało nam się zainaugurować cykliczne dni i wieczory kultury białoruskiej. Odbywały się one w Katowicach, Wałbrzychu, Wrocławiu, Gdańsku i oczywiście w Białymstoku, Hajnówce, Bielsku Podlaskim. Bywa, że po występach naszych zespołów ludzie nawet przez kwadrans oklaskują artystów, co dowodzi, że poziom naszej kultury jest bardzo wysoki, że jest to kultura europejska, słowiańska, o głębokich historycznych korzeniach, którą wspaniale można zaprezentować na salonach europejskich. Takimi salonami są Zamek Królewski w Warszawie czy Pałac w Wilanowie, gdzie miało miejsce kilka koncertów, choćby utworów Ogińskiego, Radziwiłłów, Moniuszki, wykonanych przez naszą narodową orkiestrę. Uważam, że takich przedsięwzięć może być dużo więcej. Warunkiem ich zaistnienia jest wsparcie ministrów kultury.

– Znana jest Pana sympatia do Polski, szczególnie Białostocczyzny. Jak Pan określiłby swoje relacje z tym regionem przede wszystkim?

– W dyplomacji, podobnie jak w życiu, najważniejsza jest pierwsza miłość. W dyplomacji moją pierwszą miłością jest Białystok i Białostocczyzna. Pierwszą swoją placówkę objąłem jako konsul w Białymstoku. Bardzo polubiłem te strony, żyją tam otwarci ludzie. Mam tam najwięcej przyjaciół. Połowę z moich delegacji, jako ambasador, odbyłem na Białostocczyznę. Chciałem pomagać tu w organizowaniu imprez kulturalnych i gospodarczych. Bardzo mile wspominam białorusko-polskie forum gospodarcze, zorganizowane w Hajnówce z inicjatywy ambasady i przy wsparciu władz powiatu hajnowskiego i miasta Hajnówki. Cieszę się, że w Muzeum Kultury Białoruskiej w Hajnówce zorganizowaliśmy wystawy, przybliżające postacie Kupały, Kołasa, Bogdanowicza, Boguszewicza i wiele innych. Od tego regionu zaczęliśmy w 2004 roku organizowanie dni kina białoruskiego, pierwszych wieczorów kultury białoruskiej w Centrum Kultury Prawosławnej i wiele innych ciekawych i dobrze odbieranych inicjatyw.

Sobór biskupów Cerkwi w Polsce uhonorował pracę ambasadora Pawła Łatuszko, dekorując go 3 listopada medalem św. Marii Magdaleny II stopnia

– Do niedużych, bo powiatowych miast, czyli Bielska i Hajnówki, przyjeżdżają często najlepsi twórcy i artyści ze stolicy, czyli z Mińska. Mało które tej wielkości miasto w Polsce spotyka taki przywilej. Tu ukłony trzeba słać w stronę Pana ambasadora.

– Przyjeżdżają tu, bo są bardzo dobrze odbierani. Rząd Białorusi, dzięki moim zabiegom, przyjął program „Białorusini w Polsce". Stwarza on możliwość wspierania działalności kulturalnej i edukacyjnej Białorusinów w Polsce. Przy realizacji tego programu szczególnie wiele robi konsulat generalny w Białymstoku.

– Czy korzysta Pan z kulturalnych ofert, proponowanych przez mniejszość białoruską w Polsce?

– Jest jedna impreza, której od 1996 roku nie przepuściłem ani razu – to koncert galowy piosenki białoruskiej, organizowany przez Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, które bardzo aktywnie stara się wspierać kulturę Białorusinów w Polsce. Nawet kiedy opuszczę Polskę, chciałbym na tę imprezę przyjeżdżać ze swoją córką. Mam nadzieję, że organizatorzy będą mnie zapraszać. Dzięki takiej imprezie, jak i wielu innym w różnych miasteczkach, czułem, czym jest kultura białoruska i jak jest ona ważna. I na ile mogłem, wspierałem te inicjatywy. Oczywiście pomagali wszyscy dyplomaci i konsulowie.

– Jako prawosławni Białorusini pojmujemy, że prawosławie było zasadniczym filarem w zachowaniu tożsamości białoruskiej. Jak się układały Pana relacje z Cerkwią podczas misji w Polsce?

– Były to przede wszystkim relacje prostego człowieka, który chodzi do Cerkwi i prosi Boga o wybaczenie grzechów i pomoc. Ale jako ambasador czułem ogromne wsparcie ze strony Cerkwi, gdy przeżywaliśmy trudne czasy. Bywało, że komórka nie dzwoniła w ciągu miesiąca ani razu. Wszyscy unikali kontaktów z białoruskimi dyplomatami. I właśnie wtedy przychodziło jednoznaczne wsparcie ze strony metropolity Sawy, arcybiskupów Jakuba, Abla, Mirona, Jeremiasza i wielu innych hierarchów. Hierarchowie przypominali, że nadejdą lepsze czasy i warto na nie pracować. Pracowaliśmy.

– Sukcesów było wiele w Pana dyplomatycznej służbie. Ale na pewno coś urosło do rangi największego dokonania.

– Trudno odpowiadać na to pytanie, bo zakłada ono chwalenie się. Powiem tak – na pracę dokonaną w ciągu sześciu lat składa się wysiłek wielu ludzi na Białorusi i w Polsce i oczywiście dyplomacji białoruskiej i polskiej. Cieszę się, że sześciokrotnie wzrosły ob-

Za stołem prezydialnym siedzą ks. Janusz Salamon, Krzysztof Czyżewski i Jan Kamiński

roty gospodarcze, zorganizowaliśmy dwie największe w Unii Europejskiej wystawy narodowe w 2005 i 2007, że udało się otworzyć kilka przejść granicznych, choćby w Puszczy Białowieskiej i na Kanale Augustowskim. Projekt kanału jest naszym wspólnym sukcesem. W grudniu Polska zakończy rekonstrukcję swojej części granicznego odcinku kanału, co oznacza, że będzie on gotowy na najbliższy sezon turystyczny. Obiecał to wojewoda podlaski Maciej Żywno. Udało się nam otworzyć kolejną placówkę – konsulat Białorusi w Białej Podlaskiej, kupiliśmy budynek dla ambasady w Warszawie. To wszystko oznacza, że nie jesteśmy tu czasowo, a na stałe. Jedną z najważniejszych spraw stało się otwarcie centrum kulturalnego Białorusi w Polsce. Znajduje się ono w Białymstoku. To pierwsza białoruska kulturalna instytucja państwowa poza granicami Białorusi. Wiemy, że są na świecie Polskie Instytuty, centra kulturalne Niemiec, Litwy, Ukrainy, Rosji. Myślę, że białostocka placówka stanie się przykładem do otwierania białoruskich centrów w innych krajach. Kolejne osiągnięcie, na którym zaważyły kontakty międzyparlamentarne, to postawienie pomnika Adama Mickiewicza w Mińsku. Chciałem tu podziękować posłowi Eugeniuszowi Czykwinowi, który razem z naszymi parlamentarzystami wsparł i tę sprawę. Poseł Czykwin bardzo zabiegał też o otwieranie przejść granicznych, realizację projektu Kanału Augustowskiego i wielu innych inicjatyw.

– Czego nie udało się dokonać?

– Żałuję, że w trudnych latach 2005 i 2006, mimo kilkukrotnych prób nawiązania dialogu z polskim MSZ, do rozmów nie doszło. Nie było na nie zgody. Doszło do rozmów w 2007 i 2008 roku. Cieszę się, że rozmawiamy w końcu o trudnych sprawach. Żałuję, że nie udało się postawić pomnika Kupały i Kołasa w Warszawie. W najbliższych dniach mam o tym rozmawiać z prezydentem Warszawy Hanną Gronkiewicz-Waltz. Mam nadzieję, że wiele spraw będą kontynuowali moi następcy, zrealizują je, a moje błędy naprawią.

– Trudno walczyć ze stereotypem dotyczącym Białorusi, funkcjonującym w Polsce?

– Próbowałem pokazywać, że Białoruś nie jest taka, jaką prezentują ją polskie media. Nie spotkałem się z opiniami negatywnymi i krytycznymi o Białorusi ze strony ludzi, którzy tam pojechali. Nigdy nie zapomnę, kiedy wiceminister spraw zagranicznych Polski po swojej podróży na Białoruś zaprosił mnie następnego dnia do MSZ. Był podekscytowany. Powiedział: „Panie ambasadorze, pozostaję pod ogromnym wrażeniem Mińska. Nie wyobrażałem sobie, że tak wygląda to miasto. Zapraszajcie więcej Polaków na Białoruś". Odpowiedziałem, że Białoruś jest bardzo gościnnym krajem i zaprasza wszystkich Polaków na Białoruś, choć może nie da się zaprosić 40 milionów ludzi. Ale największym problemem jest zmiana tonu informacji w polskich mediach na temat Białorusi.

– Dla mieszkańców Białostocczyzny jest bardzo ważna sprawa małego ruchu granicznego.

– Prace nad umową o małym ruchu granicznym między Białorusią a Polską są bliskie zakończenia. Szkoda, że propozycję ambasady Białorusi w tej sprawie, która została złożona stronie polskiej w kwietniu 2007 roku, przyjął dopiero nowy polski rząd. Umowę trzeba jeszcze uzgodnić w Komisji Europejskiej, podpisać i ratyfikować w parlamencie. A to oznacza, że może ona wejść w życie dopiero latem 2009 roku.

Umowa przewiduje wydawanie dwuletnich przepustek wielokrotnych dla mieszkańców stref przygranicznych, które będą kosztowały 20 euro. Z większych miast do 30-kilometrowej strefy załapują się po stronie białoruskiej Grodno i Brześć, po stronie polskiej Hajnówka i Bielsk Podlaski. Niestety, dyrektywa unijna nie pozwala włączyć do tej strefy Białegostoku. Ale jak zapewnia nas polski MSZ, strona polska pracuje nad zmianą dyrektywy Unii.

Ale umowa o małym ruchu to tylko jeden aspekt w regulacji podróży obywateli. Białoruś uważa, że ważną sprawą jest obniżenie kosztów wiz schengenowskich dla Białorusi z 60 do 35 euro. Na przykład jednokrotna wizy białoruska dla obywateli Polski kosztuje 25 euro. Najważniejszą sprawą jest uproszczenie procedur wydawania wiz schengenowskich, czemu mogłoby służyć zawarcie stosownego porozumienia Białoruś – UE. I taką propozycję złożyliśmy Brukseli.

– Z jakimi refleksjami opuszcza Pan Polskę?

– Zaczynając w 1995 roku swą służbę dyplomatyczną marzyłem, żeby pracować w dwóch krajach, w Polsce albo na Litwie. I w 1996 roku po raz pierwszy przyjechałem do Białegostoku jako konsul. Później wróciłem tu jako ambasador. Był to dla mnie bardzo znaczący okres w życiu. Złożony, ale i ciekawy.

Uważam, że istnieją bardzo dobre perspektywy rozwoju dobrosąsiedzkich relacji białorusko-polskich. Powinniśmy je budować, opierając się na elementach bazowych. Pierwszym z nich jest gospodarka, bo ludzie chcą żyć dobrze, chcą sprzedawać i kupować. Drugim jest kultura, bo ona stwarza przyjazną atmosferę w relacjach pomiędzy narodami i ludźmi. Trzecim jest współpraca regionalna, bo w regionach ludzie są pragmatykami i wiedzą czego potrzebuje lokalna społeczność. Czwartym elementem są kontakty międzyludzkie, wzajemne poznawanie się. Jestem pewien, że przyszłość naszych relacji można określić trzema słowami – pragmatyzm dobrego sąsiedztwa.

– Wiemy, że jest Pan czytelnikiem Przeglądu Prawosławnego.

– Myślę, że nie było numeru tego pisma, którego bym nie przeczytał. Zawsze mogłem tam znaleźć wiele ciekawych informacji. Czytałem bardzo ciekawe teksty Michała Bołtryka. Robiłem notatki na pierwszej stronie pisma, kierując potem pismo do innych dyplomatów. Dlatego PP jest popularny w naszej ambasadzie. Jestem przekonany, że ta tradycja zostanie zachowana. Dziękuję PP i za to, że pokazywał, co robi białoruska dyplomacja w Polsce.

– Dziękuję bardzo za rozmowę.



Europa w dialogu

2008 – Europejski Rok Dialogu Międzykulturowego. Dialog to moda, dobry ton, czy paląca potrzeba? Dla Polski może on się wydawać sprawą drugorzędną, sztucznie przywołaną. Wszak Polska jest najbardziej jednolitym narodowo i kulturowo krajem w Europie. Ale już dla Bałkanów to sprawa najwyższej wagi, wyboru nieraz między dialogiem a wojną, między życiem a śmiercią. Na razie Polska, w porównaniu z Bałkanami, Francją, Niemcami, Hiszpanią czy nawet Irlandią, pozostaje w sytuacji komfortowej. Tu prawie nie ma podziału: swój – obcy, swój – cudzoziemiec. A jeśli i ma Polska cudzoziemców, to kojarzy ich z biznesmenami, artystami, tymi którzy dają miejsca pracy i przywożą dolary. Cudzoziemiec to u nas Włoch, Francuz, Anglik. Nie są to mieszkańcy przedmieść, jak w Paryżu przybyli z Algierii czy Tunisu, gastarbaiterzy czy uchodźcy. Niemniej i w Polsce dialog trzeba prowadzić. I przygotowywać się do niego. Sytuacja w Europie zmienia się bowiem gwałtownie. Weźmy Irlandię, do niedawna kraj jednolity, teraz ze znaczącą polską mniejszością. I zapewne z tego założenia wyszli organizatorzy sympozjonu – wydział kultury i dziedzictwa narodowego podlaskiego urzędu marszałkowskiego – zapraszając około dwustu osób do dyskusji na temat „Inny – obcy – swój". Pomysł takiego spotkania zrodziła Maria Szyszko i umiejętnie, z całym zespołem, pielęgnowała go. Owoc zrodzono dojrzały.

Sympozjon zorganizowano w Teremieskach koło Białowieży, w uniwersytecie powszechnym im. Jana Józefa Lipskiego, założonym w byłej szkole przez **Jacka Kuronia**, a prowadzonym przez żonę, **Danutę Kuroniową**.

Prof. **Magdalena Środa**, etyk i filozof, minister do spraw rodziny w rządzie **Marka Belki**, ale przede wszystkim wykładowca akademicki, dostarczyła najwięcej tematów do przemyśleń. Mówiła o sytuacji mniejszości w różnych krajach. Otrzymują one pakiet praw takich jak inni. Czy to sprawiedliwe? Porównajmy sytuację dwojga dzieci – dowodziła. Jedno z nich jest ułomne. Czy do jego rozwoju wystarczy „normalny pakiet praw"? Na pewno nie. Ono wymaga więcej, by prawidłowo się rozwijać, bo jest w trudniejszej sytuacji. Tak samo jest z mniejszościami. Otrzymanie przez nich tyle samo co inni oznacza dyskryminację. Mniejszości potrzebują więcej. Ale od takiego myślenia pozostajemy bardzo daleko. Nie rozumiemy mniejszości. W Warszawie na Pradze zamieszkała rodzina muzułmańska z dwiema córeczkami. Tata, korzystając z wolności wyznania, chciał by jego córki nie chodziły na lekcje wychowania fizycznego i biologii i by nosiły chustki. Zwolnienie z wuefu załatwia się w Polsce prosto. Ale biologia? To niech dziewczynki uczą się jej w domu – zaproponowano.

Możemy zaprosić do siebie cudzoziemców – skomentowała pani profesor – ale najlepiej, gdyby mieli jasną skórę, byli katolikami i przed świętami Wielkanocy chodzili z koszyczkami do kościoła.

Profesor dotknęła tożsamości Europy. I weszła na teren bardzo grząski. Zaczęła od wątku osobistego. – Jestem Polką. Ale czy stuprocentową? Jeden dziadek był Niemcem, drugi Tatarem, który przyjął katolicyzm, babka Węgierką, druga Polką. Obcy jest w nas – stwierdziła. I przeszła na grunt europejski.

Zaproszona do Stambułu na konferencję miała wygłosić przed dwoma tysiącami ludzi, głównie mężczyzn, wykład na temat tożsamości Europy. Co mogła powiedzieć? Kontynent z trzech stron ograniczony morzami, ale na wschodzie nie ma mórz i granica Europy staje się rozmyta, różnie umieszczana. Jaka kultura leży u jej podwalin? Chrześcijaństwo – powiedziała. „I islam" – od razu skierowano do niej prośbę o uzupełnienie.

Kolejne pytanie – czy barbarzyńcy, którzy zamieszkiwali Europę zachodnią w pierwszym tysiącleciu, to też Europejczycy?

A Żydzi – wiecznie obcy?

A Cyganie? Czy z nimi Europa się utożsamiała? Chyba nie, jeśli encyklopedia z 1928 roku – przytoczyła profesor – określała Cyganów w taki oto sposób: nieporadni, złodzieje, uprawiają włóczęgostwo, są rozsadnikami chorób, ubierają się w łachmany. Cyganki bywają niekiedy bardzo piękne, ale do trzydziestego roku życia, potem więdną. Cyganie najbardziej lubią mięso jeża.

Ale Cyganie stanowią niesłychanie trwały element kultury europejskiej. Są więc swoi czy obcy?

Na ogół nie mamy problemu z obcym, czyli z greki *ksenos*, póki ten jest tylko gościem. Ale kiedy *ksenos* chce zostać z nami i korzystać z naszych praw, to stwarza problem. Nie chcemy takiego gościa.

Kolejne pytanie – czy otwartość i

tolerancyjność to trwała cecha Europejczyka? Teraz jesteśmy tolerancyjni – mówiła profesor. – Ale kiedy Kolumb podbijał Amerykę, traktował jej mieszkańców jak lud dziki, jak przedmioty, które może kolekcjonować, a nawet kolekcjonował ich uszy, głowy. Cortez w Ameryce Południowej nie był już „kolekcjonerem", ale zaszkodził jeszcze bardziej kulturze jej ludów. Pokonał ją, przykrywając swoim językiem i kulturą.

A polska tolerancja, jak ją widzi prof. Środa? – Mamy o sobie dobre mniemanie – mówiła. Uważamy się za naród tolerancyjny. Od XVI wieku do tej pory pielęgnujemy w sobie mit tolerancyjnej Polski. Mit urósł jak balon. I nikt go nie przekłuwa.

Jednym z moderatorów dyskusji był **Krzysztof Czyżewski**, prezes sejneńskiej fundacji Pogranicze. Zauważył, że tolerancja to mała cnota. Rzeczywistość jest taka, co widać zwłaszcza w „internetowym rynsztoku" pełnym agresji, że nie poradzimy sobie z naporem agresji bez cnot wyższych, takich jak caritas, czyli miłość. Czeka nas wspinanie się na palcach, by tę sytuację udźwignąć.

Ks. dr **Janusz Salamon** z Krakowa przedstawił siebie: – Jestem w czołówce ludzi, którzy promują dialog. I dodał: religia częściej wzmagała konflikty i wrogość, niż je likwidowała. Ks. Janusz mówił nie tyle o tolerancji, ile o wzruszeniu. Wzruszenie nad losem innego to więcej niż tolerancja – przekonywał.

Sięgnął po mocny przykład, opowieść swego ojca – rocznik trzydziesty dziewiąty. Ojciec urodził się w miasteczku na Podkarpaciu, które było do drugiej wojny w osiemdziesięciu procentach żydowskie, a wokół niego były wioski ukraińskie i łemkowskie. Ojciec opowiadał o losach Żydów, o ich dzieciach rozbijanych o drzewa. I o Żydzie niedobitku, ukrywającym się w lesie, którego wytropił Polak. Wziął go na krowi łańcuch i przez dwie albo trzy wsie prowadził na posterunek gestapo. Tam Niemcy rozstrzelali Żyda.

– Ojciec opowiadał mi o tym bez wzruszenia – mówił ks. Jan. I pytał: – Dlaczego nie wzruszają się ludzie, którzy byli świadkami holokaustu? Co o tym mówi Biblia? Przechodzi Samaritanin. Leży obcy. Potrzebuje pomocy. Samaritanin głęboko się wzruszył. Pomógł obcemu. Jak to się stało, że po dwóch tysiącach lat w świecie chrześcijaństwa, którego imperatywem jest miłość, wzruszenie, dochodzi do takiej zatwardziałości serc? Dlaczego mój tata nie może odczuć wzruszenia wobec tamtego Żyda, prowadzonego na łańcuchu? – Bo jest pełen lęku. Ten lęk wobec innego, obcego jest zaporą dla wzruszenia i współczucia – próbuje odpowiedzieć syn. – Lęk wynika z niewiedzy, braku kontaktu i dialogu. Niestety, religia ten lęk wzmacniała, bo w naszej części świata była ona przyklejana do narodowości. Ograniczała się do spraw własnego narodu. Na innych patrzyła jak na obcych. Teraz żyjemy w czasach, gdy każdy może kultywować swój etnos, lokalny patriotyzm. Wcześniej nie było to możliwe.

Powinniśmy w Polsce pomagać uwalniać się ludziom od tego lęku poprzez dialog i pojednanie w różnorodności. Tymczasem w Kościele są nurty, które na odwrót, żerują na lęku, wciskają ludzi w ksenofobię, budują mit oblężonej twierdzy. Wtedy wszystko się rozsypuje. Na marne idzie praca ludzi dialogu.

Ks. Janusz zadał jeszcze jedno ważne pytanie – dlaczego Polacy, którzy przez 123 lata, czyli pod zaborami, byli uciskaną mniejszością, nie mogli zdobyć się na wielkoduszność wobec swoich mniejszości po odzyskaniu niepodległości?

Przypomniał, że łatwiej wzbudzić lęk u ludzi słabych, doprowadzić ich do agresji i konfliktów. Przypomniał też, że traktowanie tego kawałka ziemi pod słońcem jako należącego wyłącznie do nas, jest przez religie traktowane jako bałwochwalstwo. Na tej ziemi wszyscy jesteśmy jedynie gośćmi, przechodniami. Pozwólmy różnym ludziom tworzyć swoje wspólnoty pod tym samym niebem.

Sporym doświadczeniem w kwestii swój-obcy dzielił się telewizyjny dziennikarz z Krakowa **Waldemar Janda**, dokumentalista, zajmujący się od piętnastu lat mniejszościami żyjącymi w Polsce (programy *U siebie*, *Etniczne klimaty*) oraz współpracujący z nim **Brian Scott**.

Janda mówił: – Pewien student Żyd mówił, że tak by chciał, żeby Polska była trochę żydowska. Ale właśnie Polska jest trochę litewska, trochę rosyjska, trochę żydowska. Młodzi ludzi ze zdziwieniem dowiadują się, że w Polsce co trzydziesty jej mieszkaniec jest inny ze względu na wiarę czy język i dziewięćdziesiąt procent tych ludzi znikąd nie przyjechało. Oni mieszkają na swoich etnicznych ziemiach. Stanowią ważny składnik polskiej kultury. Stanowią dalekie odbicie wieloetniczności Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w której to Polacy stanowili mniejszość.

Polsce nie powinno zależeć na polonizacji swoich mniejszości – radził Janda. Polska powinna dbać o to, by choć trochę była różnorodna, czyli ciekawsza. Niestety, z obserwacji redaktora z Krakowa, który przygotował ponad osiemdziesiąt filmów dokumentalnych i przejechał po Polsce kilkadziesiąt tysięcy kilometrów, wynika, że Polacy na ogół nie mają pojęcia o grupach etnicznych czy narodowościowych, które walczą w Polsce o przetrwanie.

Brian Scott urodził się Gujanie w Ameryce Południowej, jak podkreślił „w wielokulturowym raju na skraju Amazonii". Wielość religii, ras, kultur była dla niego codziennością, znajdowała się w zasięgu ręki. – O wolności i godności Polacy wiedzą wiele – mówił Brian – wynoszą te wartości z domu, ale o poszanowaniu innych niemal nic.

Sympozjon zgromadził wiele osobowości świata nauki i kultury. Z wykładem wystąpiła również prof. **Elżbieta Czykwin** z Uniwersytetu w Białymstoku. Mówiła ona o stygmatyzacji mniejszości.

Organizatorzy spotkania zaprosili do Teremisek Polaków, Białorusinów, Ukraińców, Rosjan, Żydów, Tatarów, Litwinów. Zadbali o to, by był czas na dialog. A ten był żywy i potrzebny.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

O kobiecie świętej i grzesznej

Trzecie Poznańskie Dni Kultury Prawosławnej rozpoczęły się we wtorek 4 listopada i trwały pięć dni. Ich organizatorem było stowarzyszenie Barak Kultury. Tematem przewodnim tegorocznych dni była kobieta. Oczywiście najwięcej mówiono o Bogarodzicy, również o Bogarodzicy w ikonie.



Dr **Piotr Chomik** mówił o kobiecie w ikonografii prawosławnej. Dualizm kobiecego oblicza bardzo dobrze wydobyła **Ewa Kocój** w odczycie „Grzeszność i świętość w biografiach kobiet w tradycji prawosławnej", wskazując że biblijna przypowieść o grzechu pierworodnym uzasadniała sposób traktowania kobiet.

Prelegrentka podkreślała jednak, że negatywny obraz kobiety prawosławie zapożyczyło z tradycji judaistycznej. Stwierdziła, że przez tę podwójną pozytywno-negatywną sytuację kobiety znajdują się na granicy światów: ludzkiego i niebiańskiego i dzięki temu są doskonałymi pośredniczkami między grzesznikami a Bogiem. O takiej ich specyfice mówiono jeszcze podczas rozważań na temat kobiet Dostojewskiego.

Jednak nie zawsze kobieta była „tą złą", na co wskazała prof. **Marzanna Kuczyńska**. Przywołując teksty XVII-wiecznego homilety Joannicjusza Galatowskiego dowodziła, że sytuacja kobiety zmienia się w zależności od kontekstu.

W pismach Galatowskiego czytamy, że grzech pierworodny został popełniony przez mężczyznę i kobietę. Nie można więc potępiać tylko kobiety. Natomiast, gdy Galatowski przywdziewał szaty dydaktyka, kobieta stanowiła zazwyczaj przykład niemoralnego zachowania. Na poziomie pism teoretycznych tego homiletyka nie ma mowy o kobiecej winie, grzechu i nieczystości, ale gdy siega on po przykłady z życia, posądza kobietę o czynienie wszystkiego zła.

Wydaje się, że to napięcie między „złą Ewą" a „dobrą Marią" w kulturze zachodniochrześcijańskiej nie jest aż tak wyraziste.

Zachód bowiem również w sztuce „odbóstwił" Marię, nadając jej bardziej ludzki i kobiecy wizerunek oraz – w pewien sposób – rozgrzeszył Ewę, czyniąc z biblijnej przypowieści alegorię.

O rozchodzeniu się stosunku Wschodu i Zachodu wobec postaci Marii Panny mówił bardzo ciekawie **Krzysztof Moraczewski** w wykładzie „Theotokos w oczach łacińskiego rycerza". Wskazując na silny wpływ kultury rycerskiej i dworskiej na sztukę ikonograficzną, uzasadniał przemiany przedstawień Marii, której wyobrażenie ewaluowało od kanonicznej realizacji na ikonach do wyobrażenia Marii jako dworskiej pani rycerskiego serca (stąd też i nowe imię dla Matki Boskiej: Madonna).

Zupełnie inaczej o Maryi mówił o. **Piotr Nikolski**, opowiadając o Matce Boskiej jako o archetypie ascetycznym i o kobiecym aspekcie człowieczeństwa w relacjach z Bogiem. Według niego bierność, przypisywana jakże stereotypowo kobietom, zgoda i posłuszeństwo są to cechy, które powinny charakteryzować stosunek człowieka do Boga.

Okazuje się jednak, że kobiety – nawet gdy pełnią role drugo czy trzecioplanowe – nadal zachowują moc pośredniczenia między światem ludzkim i pozaziemskim.

Opowiadała o tym **Dorota Jewdokimow**, wskazując na kobiety u Dostojewskiego. Warunkiem koniecznym takiego pośrednictwa była miłość i pokora – w przeciwnym razie to kobiety sprowadzały grzech i namawiały do złego.

Choć w życiu Dostojewskiego pojawiały się różne kobiety – nie zawsze pokorne – w jego powieściach to kobieta mogła ocalić mężczyznę, przywrócić go światu, wyrwać z grzechu, wyprosić dla niego przebaczenie...

Ta podwójna rola kobiety – kusicielki i wybawczyni – ujawniała się niemalże w każdym wykładzie.

Podczas Dni zorganizowano też warsztaty pisania ikon. Poprowadziła je **Iza Murza**.

W Centrum Kultury Zamek z koncertem „Pripiewki" wystąpił zespół Riabina z Boru koło Augustowa. Sześć kobiet w strojach ludowych zaśpiewało z radością i werwą pieśni w języku rosyjskim.

W Poznaniu pokazano też fotografie **Ewy Romanowskiej**, przybliżające kobiety na Świętej Górze Grabarce, a także filmy **Tamary Sołoniewicz** i **Piotra Nesterowicza**.

W cerkwi św. Mikołaja w piątek wieczorem odsłużono akatyst do Bogarodzicy, zaś w sobotę rano św. Liturgię.

III Poznańskie Dni Kultury Prawosławnej cieszyły się dużym zainteresowaniem wśród poznaniaków – na każdym wydarzeniu było przynajmniej kilkadziesiąt osób.

Małgorzata Mostek
fot. **archiwum Barak Kultury**



Kazanie arcybiskupa Szymona podczas św. Liturgii w cerkwi Pokrowskiej w Bielsku Podlaskim 14 października i po Liturgii

Dziesięć lat pod pokrowem Bogarodzicy

Tu, gdzie stoi okazała i piękna cerkiew Opieki Matki Bożej w Bielsku Podlaskim, dziesięć lat temu było puste pole. Właśnie w tym roku na Pokrowę 13 i 14 października świętowano w Bielsku dziesięciolecie istnienia parafii, erygowanej przez metropolitę **Sawę**. Proboszczem parafii od jej powstania jest o. **Jan Szmydki**, który dwadzieścia lat temu rozpoczął swą pasterską służbę. On i parafianie najlepiej wiedzą, ile trudu wymagało wzniesienie tej cerkwi.

Na uroczystości przybył arcybiskup łódzko-poznański **Szymon**, wielu duchownych z Bielska i okolic oraz rzesze wiernych. Śpiewał chór pod dyrekcją **Elżbiety Wojcieszuk**. Św. Liturgię na *Pokrowę* służył władyka Szymon. Wiernych nie pomieściła cerkiew.

Proboszcz, o. Jan Szmydki, został nagrodzony orderem Równej Apostołom św. Marii Magdaleny II stopnia. Nieobecny ze względu na stan zdrowia metropolita Sawa przekazał proboszczowi krzyż *z ukraszenijem* oraz list gratulacyjny.

Przed parafianami *Pokrowskiej* cerkwi kolejny etap budowy. Na placu zgromadzono już cegłę. Z niej ma być wzniesiona dzwonnica.

Prace przy polichromii świątyni, przerwane na zimę, będą kontynuowane wiosną. Jedna trzecia część ścian jest już pokryta malowidłami. Być może jeszcze w tym roku rozpoczną się prace przy ikonostasie.

o. Krzysztof Wojcieszuk fot. **autor**



Szczęśliwy dzień

Głównym akcentem obchodów jubileuszu 1020-lecia Chrztu Rusi na Białorusi była sprawowana 24 października 2008 roku przez patriarchę Moskwy i Całej Rusi **Aleksego II** św. Liturgia w soborze Świętego Ducha w Mińsku. Wraz z zagranicznymi gośćmi stałem na klirosie soboru. Obok, opierając się na lasce, stał staruszek batiuszka z wieloma, przypiętymi do *podrasnika*, medalami. Wśród nich był szczególnie ceniony przez żołnierzy radzieckich medal „Za Odwagu”. Zapytałem batiuszkę o jego wojenne losy.

– Służyłem w wojsku, broniłem ojczyzny, nazywam się ojciec **Dymitryj Chmiel**, a teraz służę Panu Bogu – usłyszałem w odpowiedzi. Ojciec Dymitryj, mimo swoich 83 lat, nie mógł nie przyjechać z Nieświeża, gdzie jest od blisko sześćdziesięciu lat proboszczem, do Mińska na jubileuszowe uroczystości. – W 1946 roku – mówi – gdy tylko wyszedłem z wojska, wstąpiłem do seminarium w Odessie. Moim seminaryjnym kolegą był patriarcha Aleksy. Jakbym mógł nie przyjechać. W ubiegłym roku złamałem nogę i chodzić bez laski już nie mogę, dlatego chociaż metropolita **Filaret** prosił, bym służył razem z patriarchą i biskupami, powiedziałem, że pomodlę się tu. Wypowiedź o. Dymitra przerywa jeden z duchownych, prosząc go do ołtarza. Przez uchylone diakońskie drzwi widzę, jak patriarcha serdecznie wita się z batiuszką i jak trzymając się za ręce rozmawiają z radosnymi twarzami.

Gdy wracamy do rozmowy, proszę o. Dymitra, by opowiedział o jakimś zdarzeniu z czasów wojny, które świadczyłoby, że wśród żołnierzy Armii Czerwonej nie brakowało ludzi wierzących. – Takich zdarzeń – odpowiada – było wiele. Opowiem o jednym, w którym sam uczestniczyłem.



Podczas mińskich uroczystości. patriarcha Aleksy II i o. Dymitryj Chmiel

2 kwietnia 1945 roku miał rozpocząć się szturm twierdzy Königsberg, obecnie Kaliningrad. Byłem już wówczas oficerem sztabowym dowódcy 3 Frontu Białoruskiego. Awansowałem, gdyż jeszcze przed rozpoczęciem wojny, jako studentowi wyższej inżynieryjnej szkoły dobrze mi szło z matematyką, a ta jest niezbędna w artylerii, do której trafiłem. Nasze wojska były już na Odrze, koniec wojny bliski, każdy z żołnierzy chciał przeżyć, ale wiedzieliśmy, że wielu szturmujących tę twierdzę polegnie. I proszę sobie wyobrazić nasze uczucia, gdy na ostatniej przed atakiem odprawie nagle do sztabu wniesiono Kazańską Ikonę Matki Bożej. Nasi dowódcy – marszałek Związku Radzieckiego **Aleksander Michajłowicz Wasilewski** i dowódca 5 armii **Nikołaj Kryłow –** i inni oficerowie uklęknęli przed ikoną i zaczęli się modlić. Ci, którzy nie uklęknęli, między innymi generał **Ludwikow**, stali z opuszczonymi głowami. Jakby uprzedzając moje pytanie o. Dymitryj dodaje: – Tak, tak, wszyscy oni byli członkami komunistycznej partii, ale ja sam to na własne oczy widziałem.

Przeczucia radzieckich dowódców i żołnierzy okazały się trafne. Niemcy do końca bronili otoczonej trzema liniami fortyfikacji cytadeli. Na rozkaz Hitlera niemieckie dowództwo przygotowało twierdzę do obrony w warunkach pełnej izolacji. W mieście – pisze Philippe Masson w „Historii Wehrmachtu 1939-1945" – były zakłady, arsenały i magazyny. Broniło go 130 tys. ludzi, około 4 tys. dział, 108 czołgów, 170 samolotów. Siły radzieckie stanowiły 4 armie i niespotykane, uderzeniowe, w sumie ponad 2 tys. samolotów, siły lotnicze. Szturm rozpoczęto 2 kwietnia potężnym przygotowaniem artyleryjskim. Dwa dni później, gdy oddziały radzieckie przy ogromnych stratach przerwały linie obrony i wdarły się do miasta, marszałek Wasilewski przez parlamentarzystów zaproponował Niemcom złożenie broni. Ci odmówili. Niezwykle krwawe walki trwały do 9 kwietnia. Po nieudanej próbie przebicia i wydostania się Niemców z płonącego miasta dowodzący obroną generał **Otto Lasch** ogłosił kapitulację i przerwał to, co potem określił jako „bezsensowną ofiarę kolejnych tysięcy moich żołnierzy i cywilów... W związku z tym postanowiłem zaprzestać walki i skończyć ten koszmar".

Niemieckie straty to 42 tysięcy zabitych i ponad 90 tysięcy wziętych do niewoli. Niewiele mniejsze wśród zabitych były straty wojsk radzieckich.

Jeszcze w październiku 1944 roku dowodzony przez utalentowanego, młodego generała **Czerniachowskiego** 3 Front Białoruski okrążył na terenie Kurlandii 32 dywizje – około 500 tysięcy żołnierzy niemieckich i 20-tysięczną łotewską dywizję Waffen SS. W zamyśle Hitlera te doborowe jednostki miały być ewakuowane drogą morską i użyte do obrony Berlina. Gdyby plan ten udało się zrealizować II wojna światowa z pewnością nie skończyłaby się w maju 1945 roku. Dlatego zdobycie głównego punktu oporu Grupy Armii Kurlandia, jakim był Königsberg, było jednym ze strategicznych celów Armii Czerwonej. Mający wykonać to zadanie radzieccy dowódcy zdawali sobie z tego sprawę.

Główna odpowiedzialność spoczywała na dowodzącym całą akcją Aleksandrze Wasilewskim, który urodził się w 1895 roku we wsi Koźliki koło Zabłudowa. Jeszcze przed rewolucją ukończył seminarium duchowne i gdyby nie wybuch pierwszej wojny światowej i *bieżeństwo* całej rodziny w głąb Rosji, zapewne zostałby duchownym. Uzdolnienia Wasilewskiego objawiły się także i w wojsku, gdzie awansował do stopnia marszałka Związku Radzieckiego. Był jednym z najwybitniejszych dowódców II wojny światowej. W latach 1942-1944 jako Szef Sztabu Generalnego przygotowywał i koordynował działania armii i frontów radzieckich. Gdy 18 lutego 1944 roku „przypadkowy" pocisk artyleryjski, siedem kilometrów od linii frontu, zabił gen. Czerniachowskiego, właśnie Wasilewskiego wyznaczył Stalin na dowódcę III Frontu Białoruskiego. Po kapitulacji Niemiec Wasilewskiego mianowano naczelnym dowódcą wojsk radzieckich w operacjach na Dalekim Wschodzie przeciw Japonii. Zmarł w ZSRR w 1977 roku.

Pytam o. Dymitra, jakim człowiekiem był Wasilewski. – Był dobrym dowódcą – odpowiada. Po zdobyciu Königsbergu Stalin wezwał go do Moskwy. Gdy wrócił, byliśmy ciekawi, co o nas sądzi naczelne dowództwo. Pytamy go o to, a on z uśmiechem mówi, że Stalin powitał go pytaniem: – Dlaczego wy, towarzyszu Wasilewski, w popy nie popali? Mnie i towarzysza Mikojana z seminarium wygnali, a was nie, a mimo to popem nie zostaliście. Stalin żartował, bo ze zdobycia Königsbergu był bardzo rad.

Wielu dowódców, o. Dymitryj mówi to z przekonaniem, było ludźmi wierzącymi. – Taki był generał **Nikołaj Kryłow**, syn prawosławnego duchownego, który po wojnie jako dowódca wojsk rakietowych był zastępcą ministra obrony ZSRR. Utrzymywałem z nim kontakty, jeździłem do Moskwy pochować jego matkę. Gdy za czasów **Chruszczowa** zaczęły się ponowne prześladowania Cerkwi, te kontakty uchroniły mnie przed kłopotami.

Po ukończeniu seminarium o. Dymitra, choć pochodzi z Ukrainy, skierowano do Nieświeża. Gdy na pożegnanie życzę mu jeszcze wielu lat życia, odpowiada, że Bóg jest dla niego wielce łaskawy i że dziś także dał mu szczęśliwy dzień, w którym jest na św. Liturgii, z patriarchą.

Eugeniusz Czykwin



Po stronie ofiar

Zdecydowana większość, blisko 70 procent społeczeństwa źle ocenia pracę posłów. Trudno się temu dziwić, obserwując alkoholowe ekscesy czy słuchając oryginalnych, choćby tej o „bliskim końcu cywilizacji białego człowieka", myśli niektórych reprezentantów narodu. Nie usprawiedliwiając nagannych zachowań posłów, w mojej ocenie prace w obecnej kadencji przebiegają spokojniej niż w czasach, gdy na Wiejskiej były reprezentacje Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin.

Moją ocenę być może już wkrótce będę musiał zweryfikować. W grudniu, po blisko sześciu miesiącach oczekiwania, Komisja Kultury i Środków Przekazu ma sporządzić sprawozdanie z pierwszego czytania projektu Uchwały Sejmu w 70. rocznicę burzenia świątyń na Chełmszczyźnie i Południowym Podlasiu. Projekt uchwały, w której Sejm wyraził żal z powodu mających miejsce 70 lat temu tragicznych wydarzeń, spotkał się z gwałtownymi protestami posłów Prawa i Sprawiedliwości, którzy kwestionowali samą akcję i domagali się jej oceny w powiązaniu z polsko-ukraińskim konfliktem na Wołyniu w latach 1942-1943. Jednoznaczne opinie ekspertów, o które poprosiła komisja i potępienie akcji, zawarte w listach, jakie prezydent **Lech Kaczyński** i premier **Donald Tusk** skierowali do uczestników uroczystości upamiętniających te wydarzenia w Chełmie w dniach 12 i 13 października, skłonią także i Sejm, mam nadzieję, do stosownego odniesienia się do tej ciemnej karty w historii II Rzeczpospolitej.

Niezależnie od ostatecznej decyzji większości, zgłoszenie projektu uchwały przyniosło pozytywne efekty w postaci poszerzenia wiedzy polskiej elity politycznej o tym, czym może skutkować polityczne zaślepienie, nietolerancja, nacjonalistyczne szaleństwo. Gdy zbierałem podpisy pod projektem, z ponad pięćdziesięciu posłów, do których się zwróciłem, tylko dwóch wiedziało, że taka akcja miała miejsce. Dziś, gdy posłowie otrzymali lipcowy, poświęcony wydarzeniom chełmskim, numer Przeglądu Prawosławnego, a tym, którzy podpisali projekt (33 posłów) arcybiskup **Abel** przesłał specjalne podziękowanie wraz z książką – wiedza na ten temat jest znacznie szersza.

Również w grudniu w Komisji Polityki Społecznej i Rodziny odbędzie się pierwsze czytanie projektu ustawy, zmieniającej zapisy ustawy „o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego". Ten projekt przygotowałem z myślą o rodzinach, których bliscy zostali zamordowani przez oddziały zbrojnego podziemia po zakończeniu drugiej wojny światowej. Dotychczas rodzinom tym odmawiano jakiegokolwiek zadośćuczynienia, chociaż katalog uprawionych do ubiegania się o odszkodowania znacząco – ostatnio o osoby represjonowane w stanie wojennym – rozszerzono.

Od 1991 roku sądy przyznają odszkodowania także tym, którzy walcząc o niepodległość dopuścili się zbrodni, zabijając niewinnych ludzi tylko dlatego, że byli innego, na Podlasiu prawosławnego, wyznania. Między innymi odszkodowanie otrzymała rodzina **Romualda Rajsa** pseudonim „Bury", który dowodząc oddziałem Pogotowia Akcji Specjalnej – Narodowego Zjednoczenia Wojskowego dokonał w 1946 roku pacyfikacji kilku wsi na terenie powiatu Bielsk Podlaski.

W zakończonym śledztwie, przeprowadzonym przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku śledztwie czyny te zakwalifikowano jako „zbrodnie przeciwko ludzkości popełnione w celu wyniszczenia części obywateli polskich z powodu ich przynależności do białoruskiej grupy narodowościowej o wyznaniu prawosławnym" . Projekt rozpatrywany będzie wspólnie z innym, przygotowanym przez grupy posłów PiS, którzy zaproponowali nową wersję ustawy kombatanckiej. Jej celem, jak czytamy w uzasadnieniu projektu, jest „znaczne poszerzenie kręgu beneficjantów", między innymi o osoby, które „walkę o niepodległość realizowały w formach cywilnych". Projekt zakłada też odebranie uprawnień kombatanckich osobom, które walczyły w szeregach Armii Czerwonej i organizacjach podziemnych, które „były wymierzane w suwerenność, niepodległość i integralność RP".

Proponując objęcie ustawą kombatancką osób represjonowanych z przyczyn politycznych w latach 1944-1989 posłowie PiS-u nie dostrzegają ofiar organizacji podziemnych, a bez tego nie jest możliwe sprawiedliwe rozliczenie się z tragicznymi kartami naszej historii.

Pamięć o tym co było, naprawienie, na ile jest to możliwe, krzywd jest potrzebne. Historyczne rozliczenia muszą być jednak oparte na prawdzie, muszą uwzględniać poglądy i oceny możliwie szerokich kręgów naszego społeczeństwa. Jeżeli państwo polskie przyznało prawo do zadośćuczynienia sprawcom czynów niegodnych, to nie może odmówić takiego prawa ich ofiarom. Dyskusje nad projektami wspomnianych wyżej ustaw pokażą, jaka jest kondycja moralna obecnego Sejmu.

W grudniu ma dojść do wizyty, pierwszej od sześciu lat, grupy posłów w rosyjskiej Dumie. Stosunki z naszym największym sąsiadem, mimo pewnej poprawy, jaka nastąpiła w czasie rządów Donalda Tuska, nie są dobre. Spotkanie z rosyjskimi deputowanymi – mam także uczestniczyć w tej wizycie – będzie okazją do rozmowy i poznania argumentów i racji drugiej strony. Dobre stosunki z Rosją, ale także z Białorusią i innymi państwami powstałymi po rozpadzie ZSRR, leżą w żywotnym interesie Polski. Dostrzega to premier Donald Tusk, który podsumowując rok rządów PO-PSL, stwierdził, że od tych relacji w dużej mierze zależy pozycja Polski w Unii Europejskiej. Trudno się z taką opinią nie zgodzić.

Eugeniusz Czykwin

Niezmienna racja stanu

Racją stanu w pierwszej połowie minionego roku, według rządzącego PiS-u, było usuwanie pomników, zwłaszcza Armii Radzieckiej.

To było nawet zrozumiałe. Sondaże wskazywały, że większość Polaków źle ocenia rząd premiera. Powszechne było przekonanie, że sprawy idą w złym kierunku. Trzeba było nagłośnić planowaną ustawę o usuwaniu syboli komunistycznych...

Jesienią 2007 roku, jak się zdawało, sprawy poszły w dobrym kierunku.

Dawna opozycja wobec PiS-u, Platforma Obywatelska, przejęła rządy. Nic to. PiS, znalazłszy się w opozycji, nie zapomniał o swoim sztandarowym pomyśle. Już 13 grudnia (!) 2007 roku grupa posłów PiS-u, w tym Zbigniew Ziobro, zgłosiła projekt ustawy (nr druku 1212) „o usunięciu symboli z życia publicznego w Rzeczypospolitej Polskiej". I posłowie do dziś ofiarnie nad nim pracują.

Gdzieś na świecie, obok nas także, kryzys, bankructwa, recesja, inflacja... A my ponad to. A może to nasz sposób na pokonanie kryzysu?

Tak czy inaczej, wedle projektu ustawy, należy dalej zmieniać nazwy miejscowości, ulic, placów, a szczególnie należy przyjrzeć się pomnikom, obeliskom, popiersiom, tablicom, znakom, ornamentom. Jeśli już ktoś się przyjrzy, a będzie miał wątpliwości, to – wedle projektu – rozwieje owe Instytut Pamięci Narodowej, Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Warto zacytować parę zdań z projektu ustawy.

I tak: „Ustawa będzie stanowić od dawna oczekiwany akt usunięcia z życia publicznego w Rzeczypospolitej Polskiej pozostałości symboli komunistycznego porządku politycznego".

Niestety, niestety, niektórzy tego nie oczekują.

Na przykład, pod ustawę na pewno podpadnie pomnik żołnierzy Armii Czerwonej w Dubiczach Cerkiewnych na Podlasiu. Tam w bitwie 26 czerwca 1941 roku zginęło ich około dwustu. I, jak się okazuje, nawet dziś wszyscy w Dubiczach Cerkiewnych bronią pomnika żołnierzy radzieckich.

Pisałem o tym w czerwcu 2007 roku w felietonie „Żeby nie było niczego". Na łamach prasy wypowiadał się wójt Dubicz Cerkiewnych Anatol Pawłowski: „Dla tutejszych najeźdźcami byli Niemcy, nie Sowieci... To nasz pomnik, ludzie nie dadzą go stąd zabrać".

W owym czasie podobnego zdania byli także białostoccy historycy. – Czy wywoływanie tego tematu teraz – mówił dr Krzysztof Filipow, dyrektor Białostockiego Muzeum Wojska – kiedy mamy jak najgorsze stosunki z Rosją, jest właściwe?

Robiono wówczas sondaże na temat burzenia pomników. Na pytanie GFK Polonia: „Czy uważasz, że pomniki żołnierzy radzieckich powinny zniknąć z polskich miast" negatywnie odpowiedziało 60 procent badanych. Zaledwie co trzeci chciałby likwidacji monumentów.

W tym temacie pewnie niewiele się zmieniło. Ustawodawca przewidział i to.

W uzasadnieniu czytamy: „Fakt, że istnieją pojedyncze osoby i środowiska, które z różnych powodów (natury ideologicznej albo pozaideologicznej) sprzeciwiają się usunięciu określonych symboli komunizmu, nie może powstrzymać ustawodawcy przed wdrożeniem projektowanych działań".

„Ustawa – czytamy dalej – stwarza zachętę do dobrowolnej zmiany ...dopiero w razie opieszałości podmiotu władnego dokonać takiej zmiany wkraczałby w imieniu państwa wojewoda".

Krótko mówiąc, samorządność samorządnością, ale racja musi być po naszej stronie.

W ubiegłym roku niewygodne wyniki sondaży poseł PiS-u, Karol Karski, kwitował krótko: „Nie wierzę, że Polacy uwielbiają radzieckie symbole".

Zdaje się, że politycy prawicy mylą uwielbienie z pamięcią.

A pamięć zwyczajnych ludzi jest inna niż wielu polityków. W miejscowości na Podlasiu (lepiej nie wymienię nazwy wsi) prawosławni i katolicy obchodzą dzień 26 lipca – wyzwolenie wsi przez Armię Czerwoną – jako wielkie święto. W cerkwi duchowny prawosławny odprawia nabożeństwo, przy kapliczce (kościoła we wsi nie ma) modli się ksiądz katolicki. Do pomniczka upamiętniającego wyzwolenie wsi i śmierć starszego lejtenanta idzie procesja... Kolejny katolicki proboszcz tej parafii powtarza mieszkańcom wsi: „Piękną macie tradycję".

Po uchwaleniu ustawy ta piękna tradycja może być niesłuszna.

Prawica polska od kilkunastu lat walczy z ludzką pamięcią, także z pamięcią swojego elektoratu.

Czy nie szkoda energii i pieniędzy na zmianę pamięci?

Czy da się wykreślić ofiary zwykłych żołnierzy Armii Radzieckiej, których w Polsce, podczas drugiej wojny światowej, poległo sześćset tysięcy?

Prawda to niewygodna, ale to największy ciężar walki z hitlerowcami wziął na siebie Związek Radziecki...

Komunistyczna propaganda?

No to posłuchajmy, co mówił w sierpniu 2008 roku w „Rzeczpospolitej" brytyjski historyk, szeroko znany w Polsce, Norman Davies, autor książki „Europa walczy".

Mówi on: „O wynikach wojny przesądził front wschodni... Alianci bez Związku Radzieckiego nie mogliby wygrać wojny. Gdyby Armia Czerwona została pokonana, niemieckie siły zbrojne zostałyby w całości skierowane przeciw Wielkiej Brytanii, a wtedy końcowy wynik tych zmagań byłby łatwy do przewidzenia...".

Sześćdziesiąt pięć lat później prawica po raz kolejny przymierza się do... pokonania pomników upamiętniających tamte zdarzenia.

Po co?

Michał Bołtryk

■ Białostockie gazety przez kilka tygodni pisały o tym, jak żyje się obcokrajowcom w Białymstoku. Zaczęło się od historii czarnoskórej studentki medycyny, która spotkała się z rasistowskimi zachowaniami. Fragment jednej z wypowiedzi w „Kurierze Porannym”. Ignacy Karpowicz, pisarz – „To, że jesteśmy społeczeństwem wielokulturowym i tolerancyjnym, jest wyłącznie mitem, niestety. Trudno wymagać tolerancji dla tak zwanego Murzyna, kiedy swojski i również tak zwany kacap czy też prawosławny jest przeciwnikiem. Swastyki szpecą mury. I szpecić będą. Nie lubimy sąsiadów, którzy mają krzywo powieszone firanki. A sąsiadów, którzy są innego wyznania, innego koloru skóry, innej orientacji seksualnej i tak dalej najchętniej byśmy posłali w niebiosa...”

■ Według GUS Polacy zarabiają więcej niż kiedykolwiek. Przeciętna płaca w październiku w firmach zatrudniających ponad dziewięć osób wynosiła 3241,8 zł brutto. Ale według Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w Polsce najlepiej uposażeni biorą średnio 14 razy tyle co najgorzej opłacani. Polska z takim wynikiem 14:1 ma najwyższe rozwarstwienie płacowe w całej Unii Europejskiej.

■ Wydarzeniem mijającego roku w Polsce były wybory prezydenta w Ameryce. Z listu czytelnika do „Gazety Wyborczej”: „Dziennikarze to wolontariusze amerykańskiej wolności, miłości, a takoż i pokoju. (...) Po USA pewnie tylko w Kenii całe dzienniki były o amerykańskim wybieraniu i w ogóle o tym, że „kochamy Amerykę”. U nas niewiele brakowało. *Change to, we can!* Nasz stan 53. pierwszy być powinien! Nawet w smutny czas PRL-u ani jeden dziennik nie był w całości o Związku Radzieckim...”.

■ **Gesine Schwan**, kandydatka socjaldemokratów na prezydenta RFN w wyborach 2009 r., o Polsce i Polakach w „Rzeczpospolitej”: „Polacy to naród, który ma problemy ze znalezieniem własnej drogi między wielkimi sąsiadami, Niemcami i Rosją, i to co najmniej od XVIII wieku. (...) Polacy nie dostrzagają często, że Niemcy odczuwają kompleks winy w stosunku do Rosjii... Dostrzegam w Polsce zaniepokojenie z rozwoju kontaków niemiecko-rosyjskich, ale jestem przekonana, że w miarę wspólnych przedsięwzięć w UE rósł będzie stopień wzajemnego zaufania pomiędzy Polską a Niemcami. UE potrzebuje Rosji jako partnera w realizacji zadań energetycznych i bezpieczeństwa”.

■ **Bernard Guetta**, komentator tygodnika „L’Express”, na temat partnerstwa z Rosją: „Polska jest gotowa walczyć z bronią w ręku o niepodległość Gruzji? To chyba żart. Polityka nie polega na przyjmowaniu różnego rodzaju efektownych postaw, tylko na wyznaczaniu konkretnych celów, które są do osiągnięcia. W tej chwili naszym celem powinna być stabilizacja regionu. Poszerzenie NATO na pewno nam nie posłuży. Wtedy Rosja na dobre odwróci się od Europy i zwróci się ku takim krajom, jak Chiny i Iran. Na tym nie może nam zależeć. Mam nadzieję, że czeka nas udane partnerstwo z Rosją. Korzystne zarówno dla nas, jak i dla niej. Reszta to fantazje i wasz rząd (polski) dobrze o tym wie. Przestańmy robić z siebie idiotów!”.

■ Całkiem rozumne podejście do spraw białoruskich. **Krzysztof Czyżewski** z „Pogranicza” w „Rzeczpospolitej”: „Stawianie prognoz, iż Białoruś musi się stać bardziej zachodnia, aby stała się nam bliska, okazało się błędem. Białoruś jest po prostu inna. Na pewno będzie się zmieniać... Powinniśmy więc polubić Białoruś taką jaka jest, inną i odmienną od nas. Powinniśmy zapamiętać ważną prawdę o dialogu międzykulturowym: nie chodzi o to, byśmy wszyscy zbliżali do jednego kanonu kultury. Musimy się wspierać, by w pełni odnaleźć się w swej odmienności”.

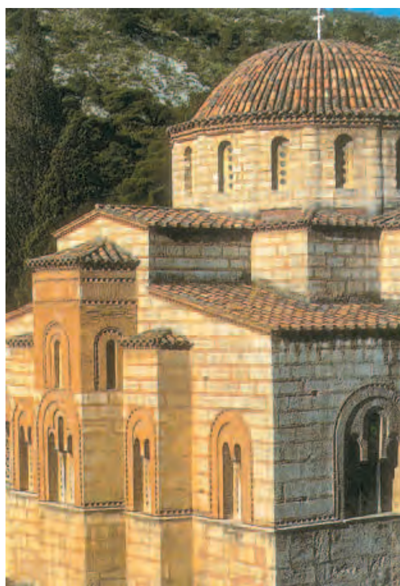
■ Ukraińskie władze zakazały transmisji rosyjskich kanałów. Stacje ORT i RTR, które można oglądać na całym świecie, już zniknęły z oferty operatorów kablowych Kijowa i miast na zachodzie Ukrainy. Nadal jednak można je oglądać na wschodzie kraju i Krymie. Ponad 25 proc. obywateli Ukrainy posługuje się tylko językiem rosyjskim. Eksperci uważają, że wojna z rosyjską telewizją to przygotowania do prezydenckich wyborów w 2010 roku. Gdyby wybory odbyły się w końcu 2008 roku, prezydent **Wiktor Juszczenko** uzyskałby 4,9 proc. Walka o prezydenturę rozegrałaby się między **Wiktorem Janukowyczem** i obecną premier **Julią Tymoszenko**. Otrzymaliby oni odpowiednio 22,8 proc i 20,5 proc. głosów.

■ Rosyjskie ministerstwo obrony przystępuje do gruntownej reformy sił zbrojnych. Liczebność armii, według planów, spadnie z 1,3 mln ludzi do 1 miliona. Liczba generałów zmniejszy się z 1100 do 900, oficerów – z 355 tys. do 150 tys. Do roku 2015 państwo ma wydać około 200 mld dolarów na nowe okręty, w tym flotyllę lotniskowców, atomowe okręty podwodne, rakiety, samoloty, czołgi. W przyszłym roku, jeśli kryzys gospodarczy i spadek cen ropy nie przeszkodzą, Rosja na obronę wyda około 100 mld dol. Czyli 27 proc. więcej niż w 2008 roku.

■ Wielkim sukcesem finansowym okazała rosyjska superprodukcja filmowa „Admirał”, opowiadająca o losach admirała **Aleksandra Kołczaka**, jednego z najbardziej znanych dowódców białej armii w wojnie domowej 1918-1920. W filmie jedną z ról zagrała **Barbara Brylska**, wciąż mająca w Rosji status supergwiazdy. Film reżyserował **Andriej Krawczuk**, a współproducentem była znana hollywódzka wytwórnia XX Century Fox.

■ Do końca listopada w Irkucku, a także w Usole Sybirskim i Bracku, trwał festiwal „Polska jesień we wschodniej Syberii”. Były koncerty, wieczory literackie, wystawy spotkania naukowców. W muzeum w Irkucku przygotowano wystawę o wkładzie polskich uczonych w rozwój Syberii. Temu tematowi poświęcono konferencję historyków z Polski i Rosji.

Mury monasterskiej cerkwi w Dafni oraz na złotym tle kopuły mozaika Chrystusa Pantokratora





BUŁGARIA

Monaster na Dunaju

Budowniczowie różnych narodowości przystąpili do odbudowy starej prawosławnej świętości – skalnego monasteru św. Dymitra Besarabskiego na Dunaju. Są wśród nich Wietnamczycy, Turcy, Ormianie, Bułgarzy. – *To pierwszy taki przypadek w historii bułgarskiej Cerkwi* – poinformował ihumen monasteru, archimandryta **Emilian**.

Corocznie besarabski skalny monaster odwiedzają tysiące bułgarskich i zagranicznych turystów. Prawosławna świętość należy do największych naddunajskich zabytków, które odwiedzane są przez wielu turystów. Jest to jedyny funkcjonujący skalny monaster w Bułgarii.

W średniowieczu skalne skity i monastery były tu bardzo rozpowszechnione. Od zwykłych monasterów różnią się tym, że cele pustelników, a także cerkwie i inne pomieszczenia, są wyciosane w skale, często na dużej wysokości. Taka lokalizacja broniła przed atakami nieprzyjaciół i wrogów – w czasach tureckiej niewoli służyły jako schronienie dla bogobojnych chrześcijan.

W skalnych monasterach Bułgarii zachowały się unikalne średniowieczne freski i inne przedmioty sztuki oraz codziennego użytku.

GRECJA

Z bizantyńskiej epoki

Monaster w Dafni, jeden z najznamienitszych zabytków epoki bizantyńskiej na terenie Grecji, wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO, otworzył swoje podwoje dla odwiedzających.

Klasztor pochodzi z XI wieku, został zbudowany na ruinach antycznej świątyni Apollona.

W ciągu ostatnich dziewięciu lat, z powodu poważnych uszkodzeń, jakich doznał podczas trzęsienia ziemi w 1981 i 1999 roku, pozostawał zamknięty dla turystów.

Część remontowych prac dobiegła końca, w dalszym ciągu trwa restauracja oddzielnej części świątyni z jedenastowieczną mozaiką z wizerunkiem Chrystusa.

W starożytności na terenie monasteru znajdowało się kilka budynków, z *trapiezną* i celami mnichów, do naszych czasów zachowało się zaledwie kilka z nich.

Cerkiew jest zbudowana na planie krzyża. Mozaiki na złotym tle, przedstawiające sceny z życia świętych, pochodzą z drugiego „złotego wieku" sztuki bizantyńskiej i mają dużą wartość historyczną.

Monaster Dafni położony jest w zachodniej części Attyki, w rejonie Chajdami, w odległości jedenastu kilometrów od centrum Aten.

Kanonizacja świętego

Kanonizacja starca Jerzego (Karslidisa) Nowego Wyznawcy odbyła się 2 listopada podczas wizyty patriarchy konstantynopolitańskiego w mieście Drama.

Prepodobnyj Jerzy urodził się w 1901 roku, w pontyjskim miasteczku Argirupoli w Małej Azji. W 1919 roku przyjął *postrig* w Gruzji, w monasterze Życiodajnego Źródła. Podczas bolszewickich represji został wtrącony do więzienia i skazany na śmierć. Trzykrotnie trafiony, cudem wyżył i odzyskał wolność. W 1929 roku z pomocą greckiej rodziny wyjechał do Grecji.

W 1930 roku osiadł we wsi Sirsa, koło Dramy. W 1934 roku zbudowano w niej monaster *Wozniesienija*, w którym starzec spędził pozostałe lata swego życia. Sam nie był w stanie się poruszać i wymagał stałej pomocy swoich duchowych dzieci.

Odszedł do Pana w 1959 roku.

Święty Starzec Jerzy Nowy Wyznawca nauczał: „Miłujcie wszystkich ludzi, także waszych wrogów. To najważniejsze. Zawsze okazujcie miłość zarówno tym, którzy nas lubią, jak i tym, którzy nas nienawidzą. Wybaczmy im, i miłujmy wszystkich, i niech nam czynią nawet najgorsze zło. Wtedy będziemy prawdziwymi dziećmi Boga…".

GRUZJA

Odłożona wizyta

Katolikos - patriarcha całej Gruzji **Eliasz II** zakończył leczenie w Niemczech i wieczorem 12 listopada powrócił do ojczyzny. Na lotnisku powitały go setki parafian, premier **Grigoł Mgalobliszwili**, przedstawiciele parlamentu i działacze kultury. Patriarcha od razu po przylocie skierował się do soboru Świętej Trójcy, gdzie odsłużył dziękczynny molebien.

O konieczności zabiegu hierarcha dowiedział się podczas badań, które przeszedł w czasie wizyty w Niemczech.

Interwencja medyczna przebiegła pomyślnie, ale dalszą planowaną

cześć podróży do Watykanu i Francji patriarcha musiał odłożyć.

75-letni katolikos - patriarcha Eliasz II wylądował w Niemczech 26 października. 8 listopada miał spotkać się w Watykanie z papieżem **Benedyktem XVI**, 14 listopada w Strasburgu przyjąć nagrodę Fundacji Europejskiej Kultury za wkład w umocnienie pokoju, humanitaryzmu i duchowości, dwa dni później – otworzyć w Paryżu gruzińską parafię.

85 proc. ludności 4,5-milionowej Gruzji stanowią prawosławni, 1,5 proc. katolicy, 9 proc. muzułmanie. Eliasz II został wybrany katolikosem - patriarchą Gruzji w grudniu 1977 roku. W trudnych czasach brał aktywny udział w łagodzeniu napięć między różnymi siłami politycznymi kraju, a także w normalizacji stosunków między Rosją i Gruzją. Katolikos cieszy się dużym autorytetem w kraju i poza granicami.

HONGKONG

Prawosławie w Pakistanie

Pierwszego pakistańskiego duchownego wyświęcił metropolita Hongkongu **Nektariusz** (patriarchat konstantynopolitański). Nowy kapłan nazywa się **Jan Tanweer**, jest żonaty, ma troje dzieci. W Lachowi, z którego pochodzi, w ciągu ostatnich czterech lat utworzono czterystuosobową prawosławną wspólnotę.

Grupy katechumenów zorganizowano także w innych regionach kraju.

Mimo wielu trudności o. Jan od czterech lat żarliwie głosi Ewangelię, występuje z prelekcjami na temat prawosławia w środkach masowego przekazu i przy wsparciu metropolii kieruje programami misyjnymi i humanitarnymi.

Teraz po przyjęciu święceń będzie się duchowo opiekował prawosławną wspólnotą Pakistanu.

Ponieważ w kraju tym nie ma cerkwi, o. Jan zamienił na kaplicę swój dom. Nie tylko z powodu braku świątyni, ale także w związku z sytuacją panująca w kraju, chirotonia odbyła się w Grecji. O. Jan został wyświęcony na diakona w cerkwi proroka Eliasza w Castelle, na duchownego – w soborze Zwiastowania w Pireusie.

Po chirotonii duchowny przybył do monasteru św. Nikołaja Warsskiego w Arkadii, gdzie mnisi pomogą mu w opanowaniu odprawiania nabożeństw. W końcu listopada o. Jan powróci do Pakistanu.

SERBIA

Patriarcha Paweł

Sobór Biskupów Serbskiej Cerkwi Prawosławnej rozpatrzył prośbę patriarchy Pawła o odejściu w stan spoczynku.

Mimo złego stanu zdrowia hierarchy sobór postanowił poprosić go o kontynuowanie służby.

Patriarcha, który od dłuższego czasu przebywa w szpitalu, z pokorą przyjął decyzję soboru i pobłogosławił jego dalsze prace.

USA

Chiroptonia biskupa Jonasza

Nowym metropolitą całej Ameryki i Kanady Cerkwi Prawosławnej w Ameryce został biskup Fort Werth **Jonasz**.

James Paffahausen urodził się w 1959 roku w Chicago, został ochrzczony w Kościele episkopalnym. Prawosławie przyjął podczas studiów na kalifornijskim uniwersytecie w San Diego, w cerkwi Kazańskiej Ikony Matki Bożej moskiewskiego patriarchatu. Studia kontynuował na kalifornijskim uniwersytecie w Santa Cruz, jednocześnie uczestnicząc w tworzeniu lokalnego prawosławnego bractwa.

Później podjął naukę w seminarium św. Włodzimierza w Crestwood. Otrzymał tytuł magistra teologii w 1985 roku, a magistra teologii w dziedzinie dogmatyki w 1988. Podczas pracy nad doktoratem z filozofii w Gratuate Theological Union w Berkly odbył podróż do Rosji, w której spędził rok.

W Moskwie James Paffahausen współpracował z wydziałem wydawnictw moskiewskiego patriarchatu, zapoznając się jednocześnie z życiem rosyjskiej Cerkwi, zwłaszcza monastycznym. Jego duchowym ojcem został proboszcz wałaamskiego monasteru, archimandryta, obecnie już biskup, **Pankracy**. Archimandryta **Kirył** (**Pawłow**), ojciec duchowy o. Pankracego, pobłogosławił Amerykanina na przyjęcie monastycyzmu i stanu kapłańskiego.

W 1994 roku Paffahausen został wyświęcony na diakona, a następnie kapłana; w 1995 roku w monasterze św. Tichona w Pensylwanii złożył śluby monastyczne z imieniem Jonasz.

Po powrocie do Kaliforni o. Jonasz służył w kilku misjach, a następnie otrzymał *posłuszanije*, żeby założyć monaster *swiatitiela* Szanghaju i San Francisco Jana.

Wiosną 2008 roku o. Jonasz został podniesiony do godności archimandryty, a jednocześnie oddelegowany na stanowisko sekretarza diecezji południowej USA.

Czwartego września 2008 roku archimandryta Jonasz został wybrany na biskupa.

Chirotonię sprawował arcybiskup Dallas i południowych Stanów Zjednoczonych **Dimitrij**, biskup Filadelfii i wschodniej Pensylwanii **Tichon**, biskup San Francisco i Zachodu USA **Beniamin** oraz biskup Meksyku **Alejo**, zwierzchnik meksykańskiego egzarchatu CPA.

Przedstawiciel moskiewskiego patriarchatu przy europejskich organizacjach międzynarodowych, biskup Wiednia i Austrii **Hilarion**, nazwał wybór biskupa Jonasza *znaczącym wydarzeniem w życiu prawosławnej Cerkwi w Ameryce*. Podkreślił, że zwierzchnik Cerkwi został *wybrany wolą duchowieństwa i ludu, którzy wierzą, ze wyprowadzi on tę Cerkiew z ciężkiego kryzysu*.

– *Zaprawdę, vox populi vox Dei. (...) Cerkiew prawosławna w Ameryce potrzebuje młodego i dynamicznego przedstawiciela, zdolnego odbudować autorytet hierarchii w oczach wiernych. Trudno o lepszego kandydata* – powiedział biskup Hilarion.

Na podst. www.pravoslavie.ru i www.sedmitza.ru
opracowała **Ałła Matreńczyk**



O. Grzegorz Sosna

Nagroda Glogera dla o. Sosny

Kapituła nagrody i medalu Zygmunta Glogera funduje co roku ogólnopolską nagrodę im. Zygmunta Glogera. W tym roku drugą nagrodę przyznała o. dr. **Grzegorzowi Sośnie**. Uhonorowała w ten sposób człowieka o wielkiej pasji badawczej, autora ponad trzydziestu książek, setek artykułów, popularyzatora wiedzy o prawosławiu. O. Grigorija znamy też jako duszpasterza, który najpierw służył w Kalnikowie koło Przemyśla, potem w Kodniu, Siematyczach i Rybołach. Rybyły, przez obecność o. Sosny, stały się swoistym centrum kulturalnym, do którego jechali historycy, etnografowie, dziennikarze, wydawcy i studenci. Wszyscy na tamtejszej plebanii znajdywali radę i materiały niezbędne do prowadzenia prac badawczych. Naukowcy byli zadziwieni – na co zwraca uwagę prof. **Jurij Łabyncew** z Moskwy – jak dwoje tylko ludzi, batiuszka z matuszką, żyjący z dala od wielkich miast, zdołało tyle dokonać, opublikować tak znaczące prace. Dominującym tematem tych prac stało się prawosławie i białoruskość, mocno osadzone w regionie, Białostocczyźnie głównie.

O. Sosna jest przede wszystkim znanym i cenionym bibliografem. Stworzył fundamentalne dzieło bibliograficzne o kilkunastu tomach, obejmujące wszystkie publikacje dotyczące prawosławia na Białostocczyźnie i nie tylko w tym regionie.

Razem z **Doroteuszem Fionikiem** napisał monografie Bielska Podlaskiego, Ryboł, Orli, Pasynek i Szczytów. Pasję badawczą o. Grigorija wspierała matuszka **Antonina**. Razem wydali między innymi monografię „Cerkiewna własność ziemska na Białostocczyźnie w XV-XX w: Zbiór materiałów. Diecezja warszawsko-bielska i białostocko-gdańska", a także monografię swoich rodzinnych wsi Szernie i Reduty.

O. Grzegorz Sosna zgromadził bibliotekę liczącą około pięciu tysięcy pozycji. Teraz wiele z tych książek przekazuje w dobre ręce – do Muzeum Małej Ojczyzny, do biblioteki Katedry Teologii Prawosławnej przy Uniwersytecie w Białymstoku, do monasterów. **(ar)**

Trzeci wieczór białoruski

Trzeci wieczór białoruski, który odbył się 24 października 2008 roku, w Centrum Kultury Prawosławnej w Białymstoku, miał bogaty program. Występował prawosławny chór Bractwa Trzech Wileńskich Męczenników, a także zespół pieśni ludowej „Siabryna", otwarto wystawę „Monastery Białorusi i Atosu", sprzedawano książki białoruskich i polskich wydawców oraz wyroby ludowych twórców z Grodna i Witebska. Na zakończenie był białoruski poczęstunek.

Ale głównym bohaterem trzeciego wieczoru była Święta Ewangelia. Prezentowano przedruk Ewangeli przygotowany przez hajnowski Bratczyk. Przedruku w Polsce dokonano z wydanej białoruskiej Ewangelii w 2007 roku w Mińsku.

Nad tłumaczeniema na język białoruski czterech Ewangelii pracowała Biblijna Komisja Białoruskiej Prawosławnej Cerkwi. Dwaj członkowie tej Komisji: o. **Siarhiej Hardun** i prof. **Iwan Czarota** – mówili o pracy nad tłumaczeniami i długiej tradycji białoruskich przekładów Pisma Świętego.

– Białoruska kultura – zwrócił się do licznie zgromadzonych w sali **o. Siarhiej Hardun** – ma korzenie chrześcijańskie. Do czasów przyjęcia chrztu na Rusi Kijowskiej na naszych ziemiach nie było ani jednej szkoły, ani jednego latopisu, ani jednej książki. Wszystko to zawdzięczamy chrześcijaństwu. Komisja z błogosławieństwa metropolity **Filareta** od 1990 roku przełożyła na język białoruski kolejne Ewangelie. Na ich podstawie stworzyliśmy Ewangelię przeznaczoną do służb w Cerkwi. Bardzo pomocna jest taka Ewangelia do czytań domowych.

Prof. **Iwan Czarota**, autor m.in. książki „Biełaruskaja mowa i Carkwa", podzielił się wiadomościami o historii przekładów Biblii na Białorusi. – W XX wieku dokonano trzynastu tłumaczeń Pisma Świętego. Nawet wielkie narody czegoś takiego nie dokonały. Ale nie mamy się czym chwalić. Ani jeden przekład nie był przeznaczony do służb w cerkwiach. Pracowano najczęściej w pojedynkę albo po dwie osoby. I tylko chyba ks. Czarniauski miał na przekład błogosławieństwo papieża. Rzecz w tym, że powinno się zrobić taki przekład, aby inne konfesje na Białorusi także przyjęły to tłumaczenie. Powołaliśmy komisję w 1989 roku. W pierwszym składzie pracowały 34 osoby. Za dużo. Komisja rozpadła się. Nowa powstała w 1994 roku, mniej liczna. Spotykaliśmy się raz w tygodniu, w czwartki. Mówiono nam: wolno pracujecie. Tak. Ale serbska komisja biblijna, spotykając się dwa razy w tygodniu, pracowała nad przekładem 23 lata! Myślę, że nie mamy czego się wstydzić, patrząc na plon naszej pracy.

Wieczór zorganizowały Białoruskie Centrum Kulturalne, ambasada Białorusi, konsulat generalny w Białymstoku, Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne i Centrum Kultury Prawosławnej w Białymstoku. Zaintersowanie jest ogromne. Siedziba CKP staje się na tę imprezę za ciasna.

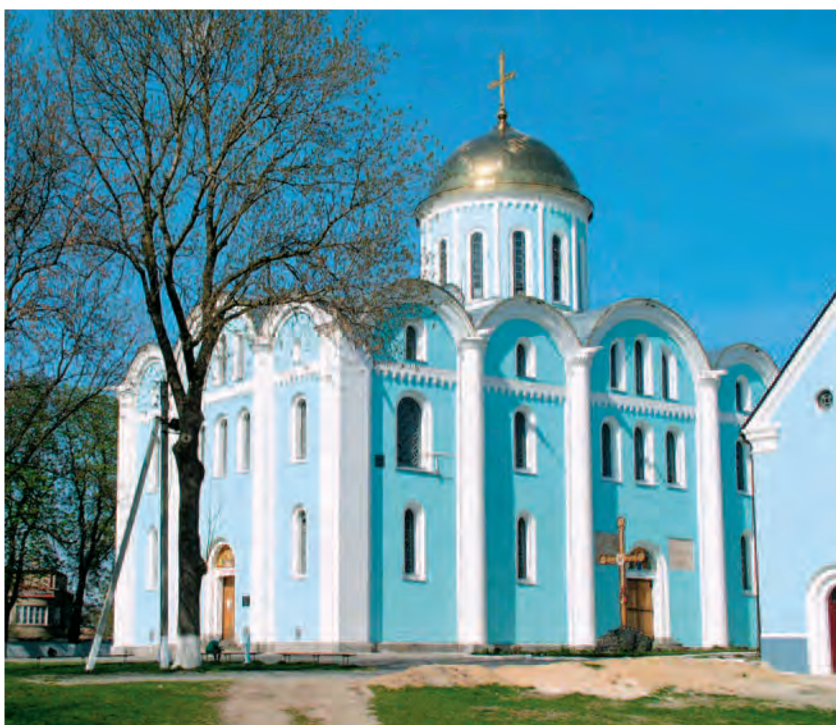
Michał Bołtryk

Святі Волинської землі. Розпис на стіні Успенського собору у Володимирі-Волинському

1000-річний дороговказ в майбутнє

Закінчення з попереднього числа





Такими матеріальними слідами минулого є городища, залишки оборонних городів княжої доби, найбільші з яких були осідками правителів окремих удільних князівств чи просто волостей. Поруч фортифікацій розміщалися ремісничо-торгівельні осади (інколи зрештою старіші аніж самі городи), з яких згодом виростали новітні міста. На території сьогоднішнього Підляшшя таку саме дорогу – від княжого города до міста з магдебурським правом на самоврядування – перейшли Дорогичин, Більськ, Сураж, Бранськ та Мельник, хоч цей останній свої права в минулому сторіччі втратив. Городи ці, зрозуміло, підпорядковувалися більшим осередкам, які через довгий час були центрами князівств. З кінця X до половини XII сторіч для Підляшшя таким центром був Київ – і як стольний град всієї Руської Землі, і як центр удільного Київського князівства. Але в половині XII ст., коли нащадки Ізяслава Мстилавича (княжив у Києві в 1146-1154 роках) програли боротьбу за „золотом кований" великокняжий стіл й перетворилися в локальну волинську династію, в її володіннях знайшлися також Берестя, Дорогичин і Більськ. Так історична доля зв'язала цю територію з Володимирським князівством. Цей зв'язок не розірвався повністю й у пізніших віках, бо хоч в XIV ст. Берестя, Дорогичин і Більськ були приєднані до литовського Троцького князівства то й надалі залишалися вони в межах Володимирської (згодом названої Володимирсько-Берестейською) єпархії Київської митрополії – аж до кінця XVIII ст.

На жаль зараз на Підляшші мало хто вже про це пам'ятає та нагадує сучасним поколінням. А це ж тут була вотчина Данила Романовича, який саме з Володимира у 1238 році вирушав у воєнний похід, щоб відвоювати з рук хрестоносців підляський Дорогичин. Пам'яті про велике минуле колишньої волинської столиці не сприяє й те, що сьогоднішній Володимир це місто провінційне, всього районний центр у Волинській області, декілька кілометрів від Бугу, якого берегами проходить українсько-польський кордон. Тому мало хто з подорожників, які проходять кордон у недалекому Устилузі, знаходить хоч хвилину часу, щоб ближче приглянутися сучасному й колишньому Володимирові.

А хватить же затриматися на автобусній станції, щоб стануть віч-на-віч з історією города над Лугою, адже розташована вона біла порослих буйною травою схилів городища, з-за якого видно золотий купол собору Успення Богородиці, кафедрального храму володимирських єпископів. Поруч розташований міський парк отже топографія дуже нагадує Більськ, з цією однак різницею, що розміри більськової „Замкової горі", як і межуючого з нею парку є набагато менші, а й найстаріший храм Більська, дерев'яну церкву Різдва Богородиці, що колись стояла по-

Вид на „Замкову гору” – руське городище у Більську



сусідськи з городищем, важно порівнювати з володимирським собором. Але можна б сказати, що ця диспропорція повністю оправдана, адже точно віддзеркалює різницю в колишньому політичному й економічному значенні обох міст – одне було столицею могутнього князівства, а друге його периферійною твердинею. Крім цього Володимир єдине місто в Україні, яке носить ім'я свого засновника, а водночас основоположника політичних і духовних начал нашої нації.

Саме ж Володимирове хрещення Землі Руської та його діяльність на полі державотворення положили фундамент також під будівлю національної тотожності сьогоднішніх українців Підляшшя, хоч з соромом признатися треба, що й досі його пам'яті не вшановано тут жодним храмом. Про заслуги св. Володимира пам'ятали однак наші предки, коли в липні 1888 року відбувалися в Києві святкові заходи для вшанування 900-річчя Хрещення Русі. Приїхала тоді й делегація з Більська, привізши з собою спеціального листа тодішньому київському митрополитові, в якому м.ін. підкреслені були заслуги князя-хрестителя для землі підляської: Великий князь Володимир особисто захищав зайняті нами краї від ворожих ятвягів та ввів їх в могутній організм Руської держави; згодом, приєднавшися до нового життя в християнській православній вірі, надихнув цим життям все тіло Руської держави; насамкінець, приготував для своєї батьківщини гідного наслідника в особі Ярослава Мудрого, який дав початок м.ін. й нашому місту, яке по сьогоднішній день твердо і свято оберігає заповіт рівноапостольного Володимира.

Від цього моменту минуло більше століття, але слова про вірність мешканців Більська заповітові рівноапостольного Володимира залишаються актуальні, адже це єдиний з-посеред бувших княжих городів, який на території сучасної Польщі зберіг перевагу українського етнічного елементу, а кількість православних парафій, яких зараз п'ять, тут більша аніж римокатолицьких. Інші міста, в тому й столиці окремих руських князівств, як Перемишль, Холм, чи навіть Дорогичин, стали вже польськими містами не лише з огляду на їхню державну приналежність, але й етнічно-релігійний склад населення. Отже і зараз в кількох десятках підляських церков кожного року правдяться урочисті служби Божі, під час яких згадується пам'ять св. першоапостольних Володимира і Ольги, Антонія і Феодосія Печерських, Афанасія Берестейського, Іова Почаївського та всіх інших святих, які в українській землі Руській прославилися.

А про жерчицьку церкву і парафію, які стали приводом до цих роздумів можна сказати, що їхня історія відбиває в собі долю цілого нашого регіону. Так само багато в їй неясних, як і драматичних, а навіть трагічних моментів. Але то є наша історія, про яку ми всі повинні знати й пам'ятати. І так направду не є важне чи перша церква станула в Жерчицях тисячу літ тому чи лише дев'ятьсот, або й навіть п'ятьсот. Важливе є передусім те, щоб до теперішньої церкви всі парафіяни приходили кожного святочного й буденного дня з почуттям гордості, що є спадкоємцями віри, традиції й культури своїх предків.

Юрій ГАВРИЛЮК

Фото **автора статті**

Marszałek województwa podlaskiego **Jarosław Zygmunt Dworzański** zaprosił 22 października do swojej siedziby przedstawicieli organizacji mniejszości narodowych. Po raz pierwszy zorganizowano takie spotkanie. Z jednej strony przedstawiciele służb marszałka poinformowali, skąd mogą brać mniejszości pieniądze na swoją działalność, z drugiej marszałek wysłuchał propozycji, uwag i pretensji miejscowych Białorusinów, Ukraińców, Rosjan, Żydów, Tatarów.

Marszałek zaprosił mniejszości

Marszałek zapewnił, że przy zatrudnianiu ludzi w urzędzie przez niego nadzorowanym liczy się tylko kompetencja pracownika. Nikt tu nie pyta o wyznanie i narodowość. Powołanie doradcy marszałka do spraw narodowych i etnicznych – jest nim **Marek Masalski** – to sygnał, że problemy mniejszości są traktowane przez urząd marszałkowski poważnie – przekonywał Jarosław Zygmunt Dworzański.

Marszałek mówił o swoim niedosycie – braku wydarzeń w województwie podlaskim o charakterze ogólnopolskim, promujących ten region. Być może będzie takim Podlaska Oktawa Kultur – zauważył.

Po raz pierwszy Oktawę zorganizowano w lipcu ubiegłego roku. Jak sama nazwa wskazuje – prezentowano na niej osiem kultur.

Podczas dyskusji do sprawy Oktawy wrócił **Jan Syczewski**, przewodniczący BTSK.

Przeprowadzenie imprezy kosztowało urząd około 450 tysięcy złotych – zauważył. Odbiorców miała niewielu. W filharmonii na przykład jednego z koncertów słuchało, oprócz wykonawców, może trzydzieści-czterdzieści osób.

Wydane pieniądze były niewspółmierne do efektu.

Mniejszości na swoją jedną imprezę otrzymują dofinansowanie rzędu dziesięciu tysięcy złotych i mają nieraz tysiące odbiorców.

Alina Wawrzeniuk, przedstawicielka stowarzyszenia AB-BA, grupującego rodziców dzieci uczących się białoruskiego, pytała, czy może powstać przy urzędzie marszałka komisja, której zadaniem byłoby wprowadzanie do szkół elementów wiedzy, pokazujących obecność mniejszości w życiu Rzeczypospolitej niegdyś i dzisiaj. Z takimi treściami niezwykle trudno dotrzeć dziś do dzieci. Programy edukacyjne nie przewidują tego typu wiedzy.

Przy takiej edukacji prawie nikt nie wie, że w przedwojennym Białymstoku mniejszość rosyjska miała pięć swoich stowarzyszeń, nadawała w znacznej mierze ton życiu kulturalnemu, a mniejszość białoruska i ukraińska były w zasadzie w nim nieobecne. Dopiero lata powojennego budowania przemysłu otworzyły tym mniejszościom drzwi do Białegostoku – te fakty przywoływała **Halina Romańczuk**, przewodnicząca rosyjskiego stowarzyszenia, działającego w Białymstoku.

Obecnych poinformowano o wydatkach urzędu na kulturę.

W tym roku uległy one niemal podwojeniu (1207 tysięcy złotych) w stosunku do roku 2007 (666 tysięcy złotych).

Kulturę mniejszości zaś zasilono w 2007 roku 95 tysiącami złotych, w tym roku 130 tysiącami. Tu stawki nie podwojono.

(ar)



Dziękuję

Dziękuję czytelnikom i recenzentom książki *Na Wschód od Zachodu*. Pierwszym czytelnikiem, a raczej naukowym konsultantem książki i autorem jej tytułu – to bardzo ważne – był profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu w Wenecji **Aleksander Naumow**. Napisał: „Książka mądra i pięknie napisana”.

Po jej wydaniu pojawiły się recenzje w prasie. **Alicja Zielińska** w Kurierze Porannym (28 sierpnia 2008) napisała: „Anna Radziukiewicz jest dziennikarką. I to się czuje. Mimo nagromadzenia faktów, ogromnej wiedzy, książkę się świetnie czyta. Wciąga od pierwszych stron. (...) to niezwykły przewodnik po prawosławiu.”

Monika Żmijewska w Gazecie Wyborczej (13 października 2008) pisze: „To rodzaj emocjonalnego przewodnika po historii, z reporterskimi wtrętami, żaden suchy akademicki wywód, w który często zamieniają się książki tego typu. Radziukiewicz wspaniale opowiada o odwiedzanych miejscach: z pasją i przejęciem. Jej bohaterowie to najczęściej postaci żyjące przed setkami lat, a jednak w książce objawiają się przed nami jak żywi. (…) niezwykłych, arcyciekawie opowiedzianych historii jest tu całe mnóstwo.”

Na moje pytanie – czy potrzebna jest komuś ta opowieść, odpowiadali ludzie bezpośrednio i w listach. Zacytuję fragmenty kilku listów.

Natalia Popkowska z Lublina: „Świetny album, piękny polski język, bardzo dużo ciepła dla opisywanych ciekawych ludzi i znakomite opracowanie graficzne. (...) Myślę, że wydanie tego albumu jest wielkim wydarzeniem kulturalnym w Polsce”.

Siostra Teresa Czesława Wójcik,

wykładająca na Uniwersytecie im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego: „Książka Na Wschód od Zachodu jest ogromnie interesująca. (...) Będzie długo jeszcze towarzyszyła mi i grupie sióstr urszulanek, dla których prowadzę wykłady”.

Prof. Marek Świdziński, Instytut Języka Polskiego przy Uniwersytecie Warszawskim, pisze w imieniu własnym i żony: „Mojej żonie wpadł w ręce (na warszawskim cmentarzu prawosławnym) piękny album *Na Wschód od Zachodu*. Przestudiowaliśmy go z wielkim zainteresowaniem. Jesteśmy katolikami, ale problematyka prawosławia jest nam bliska. (...) Chcemy Pani podziękować za trzy rzeczy. Po pierwsze za to, że przykrą prawdę historyczną podaje Pani bez zacietrzewienia i niechęci. Po drugie za to, że widzi Pani podziały jako polityczne, a nie siedzące w sercach ludzkich (...). Po trzecie za to, co Pani pisze o unitach z Pratulina i okolic, którzy walczyli o swój Kościół z urzędnikami cara; bo aż do Aleksandra III unici nie byli nawracani siłą”.

O. Krzysztof Wojcieszuk, Bielsk Podlaski: „Czytając Pani książkę wypływa się na morze historii”.

Anatol Klaszczuk, fotografik, Mińsk: „Wydanie bardzo poważne, z ciekawymi ilustracjami i doskonałą jakością druku”.

Dziękuję profesorom i licealistom, duchownym i katechetom, dziennikarzom i krytykom, ludziom różnych profesji i zainteresowań, że zechcieli sięgnąć po *Na Wschód od Zachodu*. Cieszę się, że znaleźli w niej pożyteczne opowieści.

Anna Radziukiewicz

16 grudnia, we wtorek, o godzinie 18.30, po akatyście do św. Gabriela, odbędzie się spotkanie z Anną Radziukiewicz na temat: Jak daleko jest Wschód od Zachodu? Można będzie nabyć książki *Na Wschód od Zachodu* z autografem autorki



Dziadzia Lonia

Istnienie ludzkie to wielka księga dzieląca się na rozdziały i stronice z datami oraz faktami. Narodziny to prolog, a odejście – epilog. Dobremu człowiekowi – śp. Leonidowi Pietraszkiewiczowi – posłowie to poświęcam.

Każdy, kto przejeżdżał przez powiatową Sokółkę, widział w śródmieściu cerkiew pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego. Świątynia połyskuje złotymi kopułami i zaprasza na modlitwę za zmarłych oraz żywych. W tym miejscu w dniu pamięci św. Apostoła Jana Teologa, 9 października 2008 roku, pożegnaliśmy Dziadzię Lonię (zmarły lubił, gdy tak się do niego zwracano).

Na świat przyszedł w 1922 roku na Nowogródczyźnie, w rodzinie o. **Sergiusza Pietraszkiewicza** i matuszki **Zinaidy** z domu **Mackiewicz**, która miała w swym rodowodzie kilkunastu duchownych, w wielu pokoleniach, ze strony obojga rodziców. Było to wspaniałe, a czasami i trudne dziedzictwo.

Zmarłego poznałam w roku 1979, gdy wraz z mężem, o. **Aleksandrem Klimukiem**, przywędrowałam na sokólską parafię. W naszym życiu był obecny prawie trzydzieści lat, a teraz pozostanie w modlitwie o *upokojenii*.

Był człowiekiem wielkiego formatu. Jako urzędnik i finansista wszystko załatwiał zgodnie z literą prawa, a jako syn, mąż i ojciec też świecił przykładem. Swoje decyzje często uzasadniał: Tak zrobiłby Papa (śp. o. Sergiusz) i ja tak muszę. Pięknym basem wspierał chór sokólski i okoliczne.

Głowę miał pełną pomysłów praktycznych i artystycznych. Naprawiał i udoskonalał urządzenia domowe, a także wiele rzeźbił. Z kawałka lipy czy korzenia wyczarowywał *Razpiatije*, *Nieruktwornaho Spasa* czy świecką, znajomą twarz i sylwetkę. Rodzinne archiwum zebrał i uporządkował, opatrując pięknymi odręcznymi opisami. Ukochał Świętą Górę Grabarkę i wiele lat, wraz z najbliższymi, wspierał ją comiesięczną ofiarą. Do końca cieszył się dobrym zdrowiem i bystrym umysłem. Miał wiele innych przymiotów, których nie sposób wymienić. Odszedł spokojnie, w nocy, w przeddzień dnia pamięci św. Sergiusza z Radoneża, patrona jego Papy.

Mówiąc o zmarłym, o. **Włodzimierz Misiejuk** podkreślił otwartość i szczerość Dziadzi Loni, który w trudnych czasach wywozu na przymusowe roboty do Niemiec czy bezdusznej, materialistycznej ideologii pamiętał o swoich korzeniach. Zebrani ocierali łzy i całym sercem modlili się za duszę *nowoprestawlennoho* Leonida.

Czyn *otpiewanija* i *pogrebienija* odprawiło siedmiu swiaszczenników – dziekan o. Włodzimierz Misiejuk, zastępca dziekana o. **Piotr Charytoniuk**, o. Aleksander Klimuk proboszcz ostrowski, o. **Mikołaj Dejneko** proboszcz dąbrowski, o. **Anatol Martyniuk** proboszcz samogródzki, o. **Jarosław Grygiewicz** z Kuźnicy Białostockiej i o. **Justyn Jaroszuk** wikariusz sokólski.

Na cmentarz śp. Leonida odprowadzali prawosławni i katolicy Sokółki. Spoczął nieopodal świątyni św. Pawły, wśród swoich bliskich – żony **Anny**, batiuszki i matuszki Pietraszkiewiczów oraz dziadków – batiuszki i matuszki Mackiewiczów. Spoczął pod płytą nagrobną z napisem „Syn ziemi nowogródzkiej”.

Pożegnaliśmy człowieka legendę.

Wiecznaja Pamiat’.

Ludmiła Klimuk

Czy wiecie, kiedy został napisany pierwszy akafist, jak św. Jan Złotousty zachęcał do nadawania dzieciom imion świętych? Dlaczego modlimy się zwróceni twarzą na wschód, a podczas ślubu młoda para oprowadzana jest wokół anałoja? Czy wiecie, co powiedział w swoim ostatnim wywiadzie arcybiskup Aten Chrystodulos, co napisał w 1918 roku w ostatnim liście tuż przed rozstrzelaniem swiaszczennomuczenik Jerzy (Stepaniuk) rodem z Policznej? Jak można wyznaczyć datę Paschy i o czym dzieci piszą w listach do Boga? O tym wszystkim piszemy w najnowszych Czytaniach na rok 2009. Znalazły się w nich też żywoty świętych, pouczenia starców, religijne pieśni, modlitwy, wiersze, historie parafii, wspomnienia. Na pierwszych stronach niezmiennie nasze święta i czytania Pisma Świętego na każdy dzień roku.

Cena detaliczna egzemplarza (wraz z wysyłką) wynosi 8 zł, hurtowa (powyżej 5 egz.) 6 zł, na miejscu w wydawnictwie 5 zł.



Zamówienia prosimy przesyłać: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ul. Składowa 9, 15-399 Białystok, tel. 085 / 745 54 95

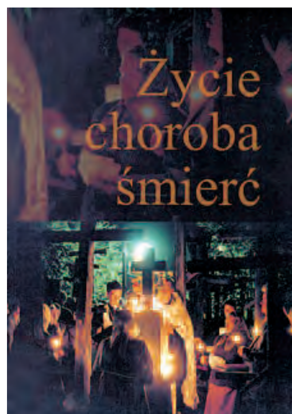
Pieniądze należy wpłacać na konto Fundacji: 15 1500 1344 1213 4007 7908 0000 z dopiskiem „Czytania”

Fundacja im. księcia Ostrogskiego poleca



ŚWIĘTA GÓRA GRABARKA tradycję ma wielowiekową. Od sześćdziesięciu lat stoi na niej monaster. Mała wspólnota przy cudownym źródle wyrosła w tym czasie na duchowe centrum prawosławia w Polsce. Blisko dwieście fotografii ukazuje, jak zmieniała się Święta Góra, jak podnosiła po tragedii pożaru i jak przyciągała do siebie wiernych. Na Święto Przemienienia przybywają tam tłumy pielgrzymów. Tekst o. Doroteusza Sawickiego opowiada o życiu mniszek, na ogół skrytym przed okiem postronnych. Do albumu (twarda oprawa, obwoluta) dołączona jest płyta DVD z filmem TVP o Grabarce.

Cena 50 zł, z wysyłką 58 zł



ŚMIERĆ współcześnie wypchnięta została ze świadomości, uznana za nieczystą. Żyjemy, jakby jej nie było. Mało kto potrafi się do niej przygotować, rozmawiać o niej z bliskimi, których życie dobiega kresu, pocieszyć ludzi w żałobie. Ta książka nam to ułatwi. Wywiad z metropolitą Antonim Bloomem i jego pełne życiowej mądrości rozważania, wypływające z jego doświadczeń lekarza i kapłana, gaszą lęk, ukazują śmierć w duchowej perspektywie. A że najlepszym pokrzepieniem jest modlitwa, do książki dołączono panichidę za zmarłych i akatyst o *upokojenii usopszych*, po cerkiewnosłowiańsku, w transkrypcji na łacinkę i w przekładzie o. Stanisława Stracha.

Cena 13 zł, z wysyłką 16 zł

Książki kupować można bezpośrednio w wydawnictwie (Białystok, ul. Składowa 9) lub wpłacając pieniądze na konto Fundacji 15 1500 1344 1213 4007 7908 0000 z dopiskiem „Grabarka” lub „Życie, choroba, śmierć”

INFORMACJE O KSIĄŻKACH WYDAWNICTWA ORTHDRUK
dostępne są na stronie internetowej Przeglądu
lub pod numerem telefonu 085 / 742 25 17

ZBLIŻENIA

HAJNOWIANKA. Pragnę nawiązać kontakt z mężczyzną w wieku 44-53 lat. Jestem samotną blondynką, wzrost 170 cm, wykształcenie wyższe

JAN. Kawaler, lat 42, wysoki, bez nałogów, wykształcenie zawodowe, hajnowianin, pozna panią z Hajnówki lub okolic w wieku 35-40 lat

MARTA. Lat 36, pracująca, po studiach, z Bielska Podlaskiego, pozna kawalera z co najmniej średnim wykształceniem z Białegostoku, Bielska, Hajnówki lub okolic tych miast

MIROSŁAW. Kawaler, lat 35, wysoki, białostoczanin, pozna dziewczynę do lat 35 z Białegostoku lub okolic

PODLASIANIN JAN. Lat 51, bez zobowiązań, niezależny finansowo, pozna panią w podobnym wieku, uczciwą, pragnącą założenia rodziny

SŁAWEK. Lat 54, atrakcyjny wizualnie i materialnie Podlasianin, wysoki, szczupły, po studiach, bez nałogów, pozna niepalącą panią w wieku od 44 do 52 lata z minimum średnim wykształceniem

SONIA. Lat 21, studentka medycyny, wzrost 167 cm, brunetka, znająca języki angielski i francuski, pozna kolegę w stosownym wieku, prawosławnego

WALENTYNA. Lat 70, wdowa, pozna pana, najlepiej z okolic Białegostoku, ale nie tylko

WŁODZIMIERZ. Wdowiec, lat 71, domator, z własnym M i samochodem z Chełmszczyzny, pozna panią w podobnym wieku

Listy do zainteresowanych osób prosimy kierować na adres redakcji: ul. Składowa 9, 15-399 Białystok. Prosimy o dołączanie znaczka do wysyłki

Przegląd Prawosławny, miesięcznik
ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, Fundacja Ekumeniczna „Tolerancja"

Redaguje zespół w składzie
Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (red. naczelny), Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji), Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Stale współpracują
o. Jarosław Antosiuk (Kraków), Sergiusz Borowik, o. Andrzej Boublej (Lublin), Jarosław Charkiewicz, Marek Dolecki (fotoreporter), o. Julian Felenczak (Sanok), Doroteusz Fionik, Jerzy Hawryluk, Jiři Karpowicz (Karlove Vary), o. Andrzej Minko (Bielsk Podlaski), o. Włodzimierz Misijuk (Białystok), Aleksander Naumow (Wenecja), o. Mieczysław Oleśniewicz (Wrocław), Grzegorz Jacek Pelica, Anna Rydzanicz, o. Grzegorz Sosna, o. Stanisław Strach, Antonina Troc

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Projekt graficzny: Anna Radziukiewicz

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9
tel. (0048 85 - kier. z zagranicy; prefiks 85 - kier. z kraju) 745-54-95, fax 742-87-19

E-mail: redakcja@pporthodoxia.com.pl; www.pporthodoxia.com.pl

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów nie zamówionych

Druk: Orthdruk, 15-399 Białystok, ul. Składowa 9

Nakład: 5000 egz.

Prenumerata
„Przegląd Prawosławny" można zaprenumerować w urzędzie pocztowym na terenie kraju, u listonosza lub za pośrednictwem redakcji

Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egz. i przesyłki):
miesięczna: Polska 6,00 zł; Europa 14,00 zł, USA i Kanada 17,50 zł, **kwartalna:** Polska 18,00 zł, Europa 42.00 zł, USA i Kanada 52,50 zł, **półroczna:** Polska 36,00 zł, Europa 84,00 zł, USA i Kanada 105,00 zł**, roczna:** Polska 72,00 zł, Europa 168,00 zł, USA i Kanada 210,00 zł. Przegląd można prenumerować poprzez PP Pocztę Polską (w urzędzie pocztowym lub u listonosza). Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

Dowód / pokwitowanie dla zleceniodawcy

Nr rachunku odbiorcy
76 1500 1344 1213 4007 7689 0000

Odbiorca:
Fundacja ks. Konstantego Ostrogskiego
ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

Kwota: ....

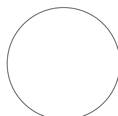
Wpłacający: ....

....

....

Zamawiam prenumeratę
„Przeglądu Prawosławnego"

Podać okres prenumeraty:



....

Wpłata gotówkowa

F U N D A C J A K S. O S T R O G S K I E G O

ul. S K Ł A D O W A 9 1 5 - 3 9 9 B I A Ł Y S T O K

76 1 5 0 0 1 3 4 4 1 2 1 3 4 0 0 7 7 6 8 9 0 0 0 0

Numer rachunku odbiorcy:

Kwota PLN:

Kwota słownie:

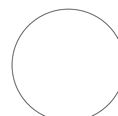
Imię i nazwisko zleceniodawcy:

Adres zleceniodawcy:

P r e n u m e r a t a P P

Tytułem:

Podać okres prenumeraty:



....
(opłata)

Dowód / pokwitowanie dla odbiorcy



Imponująca dzwonnica

Arcybiskup **Jakub** poświęcił główny krzyż i kopułę dzwonnicy przy cerkwi Świętego Ducha w Białymstoku. Stało się to po niedzielnej św. Liturgii 23 listopada 2008 roku. Dzwonnica wraz z krzyżem i kopułą ma 70 metrów wsokości. Cerkiew Świętego Ducha ma 54 metry wysokości, licząc główną kopułę i krzyż na niej.

Dzwonnicę zaprojektował architekt **Jan Kabac**. Jej konstrukcję opracował **Mikołaj Malesza**. Konstruktorem ozdobnych płomienników na cylindrze dzwonnicy jest **Piotr Pawluczuk**.

O poszczególnych etapach, zakończonymi i przyszłymi, budowy opowiada o. **Jerzy Boreczko**, proboszcz parafii Świętego Ducha: – Kamień węgielny poświęcił 4 sierpnia 2006 roku władyka Jakub. Teraz, po osadzeniu kopuły z krzyżem (10 m kopuła, 6 m krzyż) o wadze sześciu ton, na cylindrze dzwonnicy będą wykonywane kolejne prace, schodzące z góry na dół, umożliwiające zdejmowanie kolejnych partii rusztowań.

Żelbetowy cylinder od poziomu wysokości trzydziestu metrów do kopuły będzie obłożony ozdobnymi płomiennikami z białej blachy nierdzewnej. Płomienniki mają symbolizować zesłanie Ducha Świętego na apostołów, co będzie korespondowało z cerkwią. Z takiej samej blachy będą wykonane ozdobne bruzdy umieszczone pomiędzy płomiennikami. Profile płomienników obiecał wykonąć w swojej firmie Pronar **Sergiusz Martyniuk**.

Po zejściu na dół na wysokość 29 metrów od ziemi można będzie wykonać murowane z cegły klinkierowej łuki, podobne architektonicznie do cerkiewnych. Na wierzchołkach łuków będą ustawione cztery greckie krzyże. Poniżej zaczną się prace nad mozaikami czterech ikon (Matka Boża Pokrow, Matka Boża z Dzieciątkiem, Chrystus z otwartą Ewangelią, Chrystus z zamkniętą Ewangelią). Rozmiary ikon – wysokość 4,25m, szerokość 1,89m. Poniżej znów będą łuki, a na nich, na wysokości dziesięciu metrów, okrągłe ikony-mozaiki, przedstawiające czterech ewangelistów. Poniżej są już wykonane i zamocowane mozaiki. Od strony cerkwi *Nierukotwornyj Spas*, od ulicy Antoniuk Fabryczny męczennik Jerzy, od strony miasta św. Mikołaj, od strony Fast Częstochowska Ikona Matki Bożej.

Powierzchnia wszystkich mozaik, nad którymi pracują wykonawcy w Doniecku na Ukrainie od dwóch lat, wyniesie 60 metrów kwadratowych. Metr takiej mozaiki na Białorusi kosztuje tysiąc euro. Na Ukrainie udało się wytargować niższą cenę.

Co w środku? Oczywiście najważniejsze – dzwony. Od wysokości 28 metrów, schodząc w dół, na trzech poziomach, zawiśnie dziesięć dzwonów. Najcięższy – 800 kg, najlżejszy –18 kg. Sześć dzwonów od dawna służy cerkwi, cztery najmniejsze proboszcz zamówił u holenderskich ludwisarzy. Żadna z polskich firm nie chciała się podjąć wykonania tak małych dzwonów. Dzwony holenderskie zostały wykonane z wielką precyzją, podane tony zostały wiernie oddane. Dzwonnikiem będzie... komputer. Taki system już funkcjonuje w cerkwi Szkoły Ikonograficznej w Bielsku Podlaskim. Pomysł z komputerem podrzucił proboszczowi o. **Leoncjusz Tofiluk**.

Na dolnym poziomie dzwonnicy, na zewnątrz, będą także cztery krzyże. W środku dwa pomieszczenia. W jednym z nich będą sprzedawane świece...

I jeszcze jedno. Na wysokości 55 metrów, w dzwonnicy, znajdzie się antena radia Orthodoxia. Dzięki niej zasięg radia może dojdzie nawet do Hajnówki.

Na 53. metrze będzie taras widokowy, na którym jednorazowo będą mogły przebywać cztery osoby.

– Prace na dzwonnicy – ocenia o. Boreczko – zostały zrealizowane w 68 proc. Proboszcz prosi o dalsze wsparcie jej budowy. Podajemy konto:

Parafia Świętego Ducha
ul. Antoniuk Fabryczny 13
15-762 Białystok
PKO BP SA I/O Białystok
62 1020 1332 0000 1302 0026 0638
z dopiskiem
„Dary na budowę cerkwi"

Michał Bołtryk, fot. **autor**

Zadzwoniły dzwony w Gorzowie

Arcybiskup wrocławsko-szczeciński **Jeremiasz** w sobotę 18 października w Gorzowie Wielkopolskim poświęcił dwa dzwony, zawieszone na nowo wybudowanej dzwonnicy.

Po wybudowaniu cerkwi i domu parafialnego, wiosną 2007 roku rozpoczęto prace przy wznoszeniu dzwonnicy. Nie jest ona jeszcze gotowa, ale dzwony, ufundowane przez osoby prywatne, już dzwonią. Władyka Jeremiasz odsłużył *wsienoszcznoje bdienije*. Również niedzielną liturgię służył arcypasterz wraz z proboszczem parafii o. **Bazylim Michalczukiem** i diakonem o. **Mieczysławem Oleśniewiczem**. Śpiewał chór parafialny, dyrygowany przez **Aleksandra Lewczyszyna**. Na nabożeństwie byli obecni przedstawiciele władz Gorzowa.

Koncert „Łemkowski Wieczór Muzyczny" w wykonaniu chóru Sotira,



Niech rozjaśniają wszelkie niepokoje

W ostatnią niedzielę października w Lublinie obchodzono święto ku czci Lubelskiej Ikony Matki Bożej. W uroczystościach wzięli udział władka lubelsko-chełmski Abel oraz inwanofrankowski i kołomyjski Pantelejmon. Podczas nich poświęcono pięć dzwonów.

Arcybiskup Abel przypomniał: – W ubiegłym roku pękł największy dzwon i została utracona melodyjność i harmonia pozostałych, które były zresztą swoistymi prototypami, zakupionymi w trudnych czasach, pod koniec lat sześćdziesiątych. Dzisiaj poświęciliśmy pięć dzwonów dla cerkwi katedralnej. Niechaj te dzwony – jak śpiewaliśmy na zakończenie obrzędu poświęcenia – przebudzają nasze pobożne uczucia, niechaj rozjaśniają wszelkie nasze niepokoje, a ich melodia niech niweczy lenistwo w stosunku do obowiązków religijno-duchowych i niezawodnie przywołuje nas do świątyni.

Dzwony zostały ufundowane przez Europol-Gaz, społeczność wiernych i duchownych diecezji, duchownych cerkwi katedralnej Przemienienia Pańskiego. Patronami dzwonów są św. Atanazy Brzeski, Lubelska Ikona Matki Bożej, Nierukotwornyj Spas, Ikona Trójcy - Aniołów w gościnie u Abrahama (wg św. Andrzeja Rublowa) oraz – największego – Chrystus Zmartwychwstały w Chwale, Zwycięzca piekła i złych mocy. Jeden z nich dedykowany jest władyce Ablowi z okazji pięćdziesiątych urodzin.

Dyrektor wydziału penitencjarnego Centralnego Zarządu Służby Więziennej, płk **Kajetan Dubiel**, wręczył, za zasługi dla duszpasterstwa więziennego i Cerkwi prawosławnej, medale św. Mikołaja Cudotwórcy. Odznaczenie to – za szczególne zasługi dla duszpasterstwa więziennego – ustanowił, a w skali historycznej odnowił metropolita **Sawa**. Otrzymali je od niego, na wniosek władz ministerialnych i centralnych więziennictwa, władyka Abel oraz **Andrzej Boublej**, reprezentujący arcybiskupa lubelsko-chełmskiego we współpracy z dyrekcją i wszystkimi agendami okręgu więziennictwa w województwie lubelskim. Płk Dubiel jest krajowym koordynatorem pracy kapelanów Służby Więziennej, która na terenie Lubelszczyzny w relacji Cerkiew – władze więziennictwa, oceniana jest jako wzorcowa. Towarzyszył mu przedstawiciel ministra spraw wewnętrznych i administracji, dyrektor generalny Departamentu Wyznań Religijnych i Mniejszości Etnicznych **Józef Różański**, do niedawna szef analogicznego departamentu w Urzędzie Wojewódzkim w Lublinie.

Tradycyjnie po zakończeniu Liturgii i oficjalnych uroczystości ich uczestnicy zostali zaproszeni na agapę, której gospodarzem było lubelskie Bractwo Młodzieży Prawosławnej.

Grzegorz Jacek Pelica
fot. **autor**

---

który odbył się w miejskim domu kultury, zakończył uroczystości. W chórze śpiewają prawosławne Łemkinie i Ukrainki oraz Polki katoliczki.

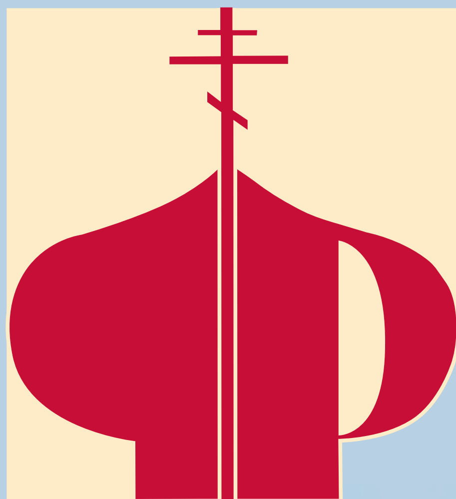
Gorzowianie mają nadzieję, że latem 2009 roku będą mogli poświęcić trzeci dzwon, ufundowany przez wiernych innych parafii.

Elżbieta i Sergiusz Protoklitow

Tym, którzy zechcą wesprzeć akcję, podajemy numer konta:

Parafia Narodzenia Bogarodzicy
ul. Kostrzyńska 2B
66-400 Gorzów Wielkopolski
02 1160 2202 0000 0000 3023 6444
z dopiskiem „Na dzwon”.





ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

- Turkowice – znowu jest nasz monastyr
- Śladami tragedii – przez Sahryń, Łasków, Kryłów…
- Ikonograf, co ze świętymi rozmawia
- O kobiecie świętej i grzesznej

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski Nr 12 (282) grudzień 2008 cena 4 zł (w tym 0% VAT)

100 lat parafii i cerkwi św. Mikołaja w Michałowie. Podczas uroczystości 26 października.

Więcej na stronach 2-5

Fot. Anna Radziukiewicz

